80

Dwie pieśni Dagestańskie

poemat

Juljana Surzyckiego

Dwie
Pieśni Dagestańskie

Objaśnienie wstępne

Obie pieśni odnoszą się do epoki wojny świętej na Kaukazie, której początek sięga r. 1823go. Przedtém cały Dagestan i cały prawie Kaukaz zostawały pod panowaniem Rossyi: bo choć w głębi gór głównego grzbietu znajdowały się kraje, dokąd rossyjanie nigdy nie dochodzili; ale i w tych miejscach żaden lud nie myślał o walce. Dopiero w tej właściwie epoce o której wspomniałem, kiedy zaczął się rozszerzać tak zwany miurydyzm, nauka z Koranu wyjęta i w religijno-polityczny system zamieniona, mając za główne zasady wyniszczenie niewiernych, to jest wojnę świętą, i poddanie się wszystkich muzułmanów pod jedną władzę przewódcy i prawodawcy tejże wojny, Imama, ludy Dagestańskie zaczęły wybijać się z pod władzy rossyjan, naprzód w krajach pod Kaukazkim grzbietem położonych, później coraz dalej sięgając do prowincyi dawno zawojowanych nad Kaspijskiem morzem.

Najpierwszym Imamem, uznanym przez nauczycieli miurydyzmu tak zwanych miurszydów, i ogłoszonym przez miurydów, to jest wyznaw-

ców czystej wiary i gotowych na wojnę świętą, był: Kadij-Mahomet, słynny pod nazwiskiem Kazi-Mułły.(+) Przez kilka lat z fanatyczną gorliwością pracując nad zbieraniem wyznawców i nakłanianiem do posłuszeństwa całych prowincyi, to namowami, to siłą zbrojną z przywiązanych do siebie miurydów złożoną, mając już pod swą władzą znaczną część górzystego Dagestanu, i zjednawszy sobie stronników w prowincyach władzy Rossyi uległych, zaczął w r. 1830 działania zaczepne; - a już w r. 1831 zdobył i spalił zamek przeciwnego sobie i przyjaznego rossyjanom Szamchała Tarkowskiego (xx), Chana najobszerniejszej prowincyi dotykającej morza Kaspijskiego; obległ nad tymże morzem fortecę Burno (dziś Piotrowskie) i Derbent; walcząc zaś z niesłychaną zawsze odwagą, często do awanturniczości posuniętą, zmuszony był nakoniec cofnąć się w góry, gdzie w 1832 r. broniąc ufortyfikowanej przez siebie wsi rodzinnej Gimry, zginął przy wzięciu jej szturmem. Uznanym był przez wszystkich miurydów za świętego. Rossyjanie w onym czasie nie byli w stanie

---

(+) Kadij albo Kazij jest to urzędnik religijno-sądowy wybierany przez wieś lub gminę. Mułła duchowny zawsze pilnujący meczetu i znajdującej się przy nim szkoły, gdzie uczą tylko Koranu.

(xx) Szamchał, tytuł władcy Arabskiego pochodzenia.

stawić dalej oporu rozszerzaniu się potęgi Imamów i bronić owładniętych przez nich prowincyi. Następca Kazi-Mułły Hamzat-bek, zdobywszy w r. 1834 Hunzak, stolicę Chanów Awarskich, panujących nad największą prowincyą w środkowym Dagestanie, zwaną sercem Dagestanu i wówczas Rossyi uległą, wymordował całą Chańską rodzinę i stał się panem tej prowincyi. Zginął w r. 1837 od spiskowych, mszczących się za owo z Chanami Awarskimi postąpienie. Szamil, który to właśnie doradził, będąc już znanym wówczas powszechnie jako wielki uczony i wojownik, po śmierci Hamzata ogłoszonym został Imamem, albo raczej opierając się na znacznej liczbie swoich stronników, sam się nim ogłosił, a nawet jak mówią, widząc niedołężne rządy swego poprzednika, przyczynił się do jego śmierci.

Był to bezwątpienia jeden z najznakomitszych ludzi swego czasu. Wprawdzie w środkach nie przebierał, bo nawet ostatniego potomka Awarskich Chanów, chłopca dziewięcioletniego, kazał zrzucić ze skały na dno rzeki, żeby wszelkie miejscowe pretensye do władzy nad tą prowincyą zakończyć; lecz osiągnąwszy nieograniczoną religijną

i polityczną władzę nad prowincyami już Imamowi uległemi, szedł do tejże władzy nad całym Dagestanem a nawet Kaukazem. Zjednawszy sobie Czecznię Wielką i małą, obszerne lesiste prowincye między północnym Dagestanem a północnemi granicami Kaukazu przez Rossyan osadzonemi, które to prowincye jakkolwiek rossyanom nieprzyjazne, ale i długo władzy Imamów uznawać nie chciały; mogąc już zebrać do 30000 wojska piechoty i konnicy, po przeprowadzeniu kampanii najpamiętniejszej w dziejach Dagestanu w r. 1843, w której zabrał rossyanom 16 fortec lub miejsc obronnych i w nich wszystkie działa i zapasy, wypędziwszy nakoniec nieprzyjaciela z całego gór podnóża, stał się panem całego środkowego i północnego Dagestanu, wraz z obu Czeczniami, wyjąwszy Chańskich posiadłości do brzegów morza Kaspijskiego dotykających i kilku małych przyległych im prowincyi; jak np: Tabasserani i Kajtachu, które zostały w ręku rossyan.

Nie tylko w wojennych planach i ich wykonaniu był nadzwyczaj trafnym, zręcznym i przedsiębierczym; mianowicie jednak szczególniejsze okazał zdolności w zarzą-

dzie politycznym i administracyjnym. Urządził organizacyę wojskową, podatki, kassowość, poczty, przepisy cywilne i karne, i.t.p., a wszystko z dokładnością i potrzebną bystrością koncentrowało się w jego osobistej władzy. Za pomocą tej to silnej organizacyi, udało mu się zjednoczyć i pod swoją władzą utrzymać owe najróżnorodniejsze ludy któremi zarządzał, a w których miał do zwalczenia najróżnorodniejsze przytém żywioły, często sobie najprzeciwniejsze z dawnych tradycyji, zwyczajów, wzajemnej zawiści lub ciemnoty pochodzące; - i za pomocą tej jedynie organizacyi, zdołał wytrzymać olbrzymią walkę od 1837 do 1864° roku, kiedy nakoniec uległ pod przemocą. - Rossyanie na Kaukazie mieli wtenczas 200000 wojska, między któremi przeszło 50000 bagnetów.

Ogólnym charakterem tej całej wojny, od pierwszego jej początku aż do ostatnich chwil panowania Szamila, jak to już samo jej nazwanie Świętej pokazuje, była religijność. Imamowie działali głównie przez wybranych od siebie wyznawców, nauczając lud zasad Koranu i miurydyzmu i przygotowując go do powstania przeciw niewier=

nym, a w danym razie używając jego oręża. Przychodziło to nieraz z wielką trudnością i długiego potrzebowało czasu, a niekiedy wcale się nieudawało, mianowicie między mieszkańcami oddawna przyzwyczajonymi do pokoju pod panowaniem Rossyi, a przytém odstraszanego ciężkiemi klęskami, jakie ich spotykały w razie niepomyślnego powstania; albowiem Rossyanie przytłumiali je mieczem i ogniem, całe wsie w perzynę i gruzy obracając i wytępiając mieszkańców bez oszczędzania nawet starców i kobiet. Niekiedy Imamowie, jak to szczególniej robił Kazi-Mułła, wpadali nagle z całemi swemi siłami w głąb prowincyi przygotowanych do powstania, lub też wysyłali im zbrojną pomoc, resztę samym mieszkańcom zostawiając; lecz często siły te wypartemi zostały, a mieszkańcy potem straszliwie karani.

Epizody tej wojny, podobne do tego jaki jest przedmiotem pieśni pierwszej, zdarzały się niejednokrotnie; epizod zaś w drugiej pieśni przedstawiony, wyjąwszy pewnych zmian w nazwiskach bohaterów, jest we wszystkich szczegółach ściśle historycznym. W obu starałem się w niczém nie odstępować od prawdy pod względem charakteru

ć.

wojny) jak i miejscowych tradycyj, pojęć, zwyczajów i obyczajów, z któremi miałem czas i sposobność obeznania się, przebywszy na Kaukazie, mianowicie w Dagestanie lat dwanaście i należąc w tym czasie do kilku wojennych wypraw.

Resztę potrzebnych objaśnień znajdzie czytelnik w odpowiednich przypiskach do tekstu. –

Pieśń Pierwsza

Wolni i podbici.

1.

Pożegnanie.

Już znikło szczęście dla ciebie mój Kraju,
Choć słońce jasność promienną rozlewa;
Już dziś nie ciebie wita ranek maju,
Który do pracy i roskoszy wzywa.
Budzi się ze snu wioski okolica,
Całej piękności odkrywając czary,
Jak śród rajskiego ogrodu dziewica (1)
Z pod przezroczystej obłoków kotary.
Lecz próżno słowik w blizkim gaju kwili,
Jego piosenka z martwem echem ginie,
Bo niema ludzi, którzy w tej dolinie
Domowem szczęściem i weselem żyli.
Gdzież są dziewice, co podług zwyczaju,
W długich zasłonach kryjąc swą urodę,
Szły tu z dzbankami czerpać jasną wodę?

Pustą jest ścieżka do tego ruczaju!
A gdzie na około aż do gór wybrzeży
Skiby, co były radością rolnika?
Kłos na nich marnie bez owocu leży;
Jedna pustynia zdeptana i dzika!

Zamilkły góry wołaniem pasterzy,
I stąd się więcej nie rozchodzą głosy;
Próżno pachnące kwitną liczne wrzosy,
Owca na paszę do nich nie pobieży,
Żadna się więcej w wełnę nie odzieje,
W smaczne się mięso nie upasie dłużej;
Bo dziś wrogowi na biesiadę służy.
Znikły wszelkiego dobytku nadzieje!...

Co znaczą dymy nad wioską zgęszczone,
Których kłębami brudzą się błękity?
Te połamane ściany, domów szczyty,
Te pośród wioski gruzy rozrzucone,
Gdy jeszcze płomień w rozwalinach błyska,
Niszcząc ostatnie szczątki zgorzeliska?!..

Nie widać nigdzie mieszkańca żadnego!
Czy lud tam zginął pod ruiną własną?
Tylko wśród zgiełku i wrzasku jednego
Jakieś się obce wyrazy rozlegają,
Lub z hukiem gruzów gdzieś w oddali zgasną.

O! tam się snują jacyś ludzie przecie,
Czerniejąc zdala, połyskując stalą,
Ach! ukryj matko na swém łonie dziecię,
To wrogi wioskę rabują i palą!...

———— . ————

Niewierni wreszcie rabować przestali,
Dzikiej ich żądzy już zadość się stało:
Zaledwie kilka domostw ocalało,
Które się skryły pod wąwozem wdali.
Tam w jednej chacie nad urwiska krańcem,
Samotny starzec, Ogaj, był mieszkańcem,
Żyjąc z Fatymą, swą córką jedyną,
Której po całym kraju wdzięki słyną.

„Witaj Ogaju" – Achmed krwi posoką
Zbryzgany cały, gdy twarz czernią dymy,
A grubym kurzem osypane szaty
I broń w nieładzie – do ojca Fatymy
Rzekł, przestępując progi jego chaty. –
Starzec wytężył na przychodnia oko,
Córka do ojca tuli się strwożona:
„ Nie bój się starcze! bo nim dzień ten skona,
„ Już mnie nie znajdą tutaj harde wrogi,
„ A wiesz jak próg ten nad życie mi drogi; –
„ Więc pozwól, reszty tego dnia strasznego
„ Niech mi godziny wraz z wami ubiegą!" –

— „Dzięki Achmedzie! Lecz słyszysz jak wrzeszczą
Biegając po wsi z chciwością łupieżczą?
Co mi zostało, obronię w potrzebie,
A ty uciekaj i ocalaj siebie."

Fatyma także błagającym ruchem
I spojrzeniami o litość zaklina,
Lecz i to mężkim nie zachwiało duchem:
— „Ja mam dla Ciebie obowiązki syna."
Rzekł, „a więc Ojcze nie proś nadaremnie,
Niechcę by dzień ten przeszedł wam bezemnie.

— „Więc siadaj synu, - pewnie cię pragnienie
Pali po długim i straszliwym boju:
Fatymo, przynieś świeżej wody zdroju,
Bo mu potrzebne ciała orzeźwienie."
Potem zapytał: a gdzie masz rumaka?
— „Na twojej stajni." — I znów starzec rzecze:
— „Bóg nam nie szczęścił, Jego wola taka,
A przed nią słabe są siły człowiecze."

Fatyma niesie wodę w pełnym dzbanku;
— „Oto, rzekł starzec - pij, woda zdrojowa."
Dziewica zbladła stając przy kochanku,
W spuszczonej rzęsie swą źrenicę chowa,
A dzbanek drżącą podaje mu ręką.
Achmed używszy w napoju ochłody,

Oddaje Fatmie naczynie z podzięką;
On w raju milszej nie dozna ochłody,
Większej roskoszy dla niego tam niema,
Jaką dziś dusza piła w kroplach wody,
Którą w swych dłoniach niosła mu Fatyma.

Dziewica wyszła, znów zostali sami:
— „Tak, Bóg nie szczęścił" — znów starzec przemawia,
„Widziałem bitwę, serce się rozkrwawia,
„Oni nas swemi zaleli tłumami.
„Pewnie się wiernych niewiele zostało?"
— „Tak", odpowiada Achmed, z męstwa chwałą,
„Starcze, zginęli wszyscy, wszyscy prawie;
„A z pozostałej nielicznej garsteczki,
„Reszta schroniła życie śród ucieczki:
„Dzisiaj w wąwozie pośród nich się stawię."
— „Ale tu we wsi o ciebie się boję."
Starzec po chwili odezwał się znowu.
— „Twa chata wdali i blizko parowu,
„Wreszcie mam konia i wierną broń moję." —

Długo samotnie rozmawiali potem,
Może swej zemsty układając plany?
Czasem Fatyma wchodząc, stóp łoskotem (2)
Przerwała głos ich ledwie dosłyszany.
Natenczas Achmed wstrzymując westchnienie,
Ściga ruch każdy, każde jej stąpienie:

Niepomny wrogów i zemsty i boi,
Tém krótkiem szczęściem całą duszę poi;
I całą duszę przenosi w widzenie. -
Lecz ona zawsze i drżąca i płonie,
Topiąc wzrok w ciemnych długich rzęs osłonie,
Z pod których czasem drobna łezka zbiega;
Jak weszła prędko, tak prędzej odbiega. -
Starzec naprożno potem mówi długo:
Achmed wokoło nie widzi, nie słucha;
Jakichże marzeń gorących był sługą?
Gdzie leciał skrzydłem zaklętego ducha?..

Tych chwil roskoszy i bólu czas bieży -
Słońce zachodzi, nastał czas wieczerzy.
Po wsi zaczęto ścichać wrogów wycie;
Blask się po ziemi rozściełał rumiany,
Kładąc po dymach jakby krwi odbicie;
Rzadziej huczały walące się ściany.

Fatma wieczerzę na kobiercach stawia (3)
Jakże troskliwie dzisiaj przyrządzoną!
Lecz coraz bardziej wznosi się jej łono,
I coraz prędzej komnatę zostawia.
Czyli ukrywać chciała łzy uparte
Które wszystkiemi cisnęły się siły,
Czyli się bała, by się nie odkryły
Te co na licach widniały niestarte?

W jej łonie pewnie brak było powietrza,
Bo coraz bardziej i drżąca i bledsza.

Starzec i Achmed siedzą za wieczerzą;
Lecz tylko czasem chleba albo soli
Jeden z nich weźmie z przymuszonej woli,
Gdy inne dary nieruszone leżą.

Fatyma znów się ukazała w progu:
— „Córko, wieczerza nasza już skończona,
„ Ale i za to podziękujmy Bogu,
„ Słuchając woli jaka przeznaczona.
„ Niech także będą dzięki i gościowi,
„ Gdyż pokosztował i soli i chleba;
„ Ile zaś świadczył naszemu domowi,
„ Gdy nic wdzięczności naszej nie wypowie,
„ Niechaj mu za to wynagrodzą nieba!
„ Teraz choć ręce po wieczerzy czyste,
„ Podaj Fatymo wody na umycie." (4)
Fatyma niosąc naczynie srebrzyste
I czując w sercu coraz prędsze bicie,
Najprzód przed starcem pochyliwszy skronie,
Polewa jego wychudzone dłonie;
A gdy się potem zbliża do Achmeda,
Takie nią całą przeniknęło drżenie,
Jakie się w pieśni opowiedzieć nieda.
Obojgu oczy kryją się w rzęs cienie.

By z nich nie błysły serca tajemnice;
Ale daremném było wysilenie,
Bo się spotkały spojrzeń błyskawice
I skrzyżowały wzajemne płomienie.
Nadludzkie siły trzymały dziewicę,
Że jej naczynia z dłoni niewypadły;
Achmed - dziękuję - wypowiedział słowo,
Ona w odpowiedź pochyliła głowę,
Obojgu lica śmiertelnie pobladły.
A jak Fatyma do progu trafiła,
Chyba ją także wiodła cudów siła.

Wtém Achmed zaczął opatrywać bronie:
– „A więc czas nadszedł, już jedziesz Achmedzie?"
Achmed starcowi długo ściska dłonie
I obiecuje, że wkrótce przyjedzie;
Lecz jak i kiedy, starzec nie docieka.

Achmed i chwili więcej nie odwleka,
Opuszcza izbę, idzie po rumaka; –
I już zbrojnego na sobie go trzyma
Lotny koń wierny i wierna kulbaka.
Na ganku z starcem stanęła Fatyma:
– „Niech Was Bóg strzeże" – te jeszcze rzekł słowa,
Nagle spiął konia, za wrota wyskoczył,
Więcej nie spojrzał – zabrzękła podkowa,
Broń jeszcze błysła – i cień go otoczył. –

Starzec z Fatymą na ganku zostali,
Patrząc w te cienie, gdzie im z oczu zniknął;
Wtém nagle strzały rozległy się w dali,
Dziki krzyk wrogów powietrze przeniknął.
Fatyma padła na ziemię zemdlona:
Starzec ją cuci, rwie dziewicze szaty,
Bierze na ręce; a cisnąc do łona,
Ten skarb swój cały niesie do komnaty.

Z wierzchołka góry stromej i lesistéj,
Pieśń popłynęła z cichym wiatrem nocy,
Głos ją wydawał dźwięczny, drżący, czysty,
Pełen tęsknoty lecz i wielkiej mocy;
A było słychać ją takiemi słowy,
Które odbiły góry i parowy.

Tyś nas zwyciężył i jesteś szczęśliwy,
Ufając swojej przemocy niezmiernéj;
Lecz tego niewiesz że nasz Bóg jest mściwy,
Ty psie niewierny!
Krwi naszej bujne rozlałeś potoki!
Zgliszczami całą napełniłeś ziemię;
Ale i twojej niestarczy posoki,
Niewierne plemię!
Jeden Bóg tylko, jeden prorok Jego:
Wierni zwycięztwo w końcu odnieść muszą,

Gdy same piekła ciebie nie ustrzegą,
Niewierna duszo!
Bo poco w dumie swej nieukróconej,
W nienasyconym krwi, łez ludzkich głodzie,
W naszych gór wolnych zbłąkałeś się strony,
Niewierny rodzie!
Że jesteś mędrszym w rozbojów sposobie,
Co okrucieństwo twoje wymyśliło,
Ale bojaźni Boga niema w tobie
Niewierna siło!
Czeka cię wieczna kara zatracenia,
Żadna z plag ziemskich Ciebie nie ominie,
Do ostatniego klnę cię pokolenia
Niewierny synie!

A wy me góry i lasy i pola,
I ty kochana moja wsi rodzinna,
Żegnajcie! dla was smutek i niewola;
Lecz miejcie wiarę - przyjdzie dola inna.
Żegnajcie moi towarzysze młodzi,
Was niejednego ciężka próba czeka,
Nie jedną szyję śmierć hańby ugodzi;
Ale kto wierny, droga niedaleka!
Żegnajcie prochy braci bez mogiły,
Którzy dziś padli na ojczystej ziemi,
Już was śród raju dziewy otoczyły;
Darząc wdziękami wiecznie przeczystemi.

I ciebie żegnam, moje drugie słońce
Fatymo! wsi ma, bracia i wy cienie,
Nadeszły chwile nas rozłączające;
Lecz Bóg gotuje inne przeznaczenie! (5)

Głos pieśni skonał i cichość na ziemi
Osiadła znowu skrzydły czarownemi.

II

Obietnica starca.

Już rok upłynął od klęski straszliwéj,
W której wieś padła i kraina cała:
Włada nią dzisiaj wróg nielitościwy
I jego dzuma twarda i zdziczała.

I w całej wiosce zmieniło się mało:
W różne się strony rozpierzchły rodziny,
Zaledwie kilka domostw pozostało,
Zresztą te same zgliszcza i ruiny.

Takie jest wrogów naszych panowanie:
Co miecz nie zgładzi to ogień dorżnie;

A jeśli jeszcze co na łup zostanie,
Tego dokona chciwa zdzierstwa ręka.

Dopókiż jęczeć będziesz pod brzemieniem
O biedny ludu! przez wroga zdeptany?
Kiedyż się stanie twojem przeznaczeniem,
Że wejrzy na cię Bóg ulitowany?

O! miej nadzieję, idź na świętą wojnę:
Widzą ją w górach Imamowie święci,
I choć opłacisz krwi ofiary hojne,
Padną przed Bogiem wrogowie przeklęci. -

Ogaj się rozstał z wolną przodków gminą,
Szukając wrogów łzejszego tyraństwa;
I z resztą mienia i z córką jedyną,
Zamieszkał we wsi sąsiedniego Chaństwa. (6)
Czy w tej dziedzinie i niewoli nowej
Lepiej mu będzie, że dalej od wojny?
Czyli pod skrzydłem opieki Chanowej
Żyć będzie więcej szczęśliwy, spokojny?
Niechciejmy badać Boskiego wyroku,
A idźmy raczej do powieści toku.

Już we wsi światło ostatnie zagasło,
Sen ukołysał spracowanych ludzi,
Niekiedy ciszę pies szczekaniem zbudzi,

Lub nocne wrogów odezwie się hasło. (7)
Starzec z Fatymą w swojej nowej chacie,
Przed tlącym ogniem siedzieli w komnacie:
Milcząc, oboje w myślach pogrążeni
Patrzyli w płomień niknący ogniska,
Który igrając pośród izby cieni,
Niekiedy także po ich twarzach błyska.
Fatma już krasą nie jaśniała raju,
Którą niedawno była tak nadobna:
Do białej róży stała się podobna,
Rozkwitającej w pierwszym ranku maju,
Gdy ją z innemi trawy zetnie kosa,
A na jej listkach jeszcze błyszczy rosa.—
Albo to była wśród lata spiekoty
Samotna w polu piękna lilja biała,
Dla której męką słońca promień złoty,
A kropla deszczu życiem by się stała:
Już na łodydze główka pochylona,
Zda się, że kwiatek usycha i kona.

Czasem łzy kropla w jej zamglonem oku
Blaskiem brylantu lub gwiazdki zamignie,
A potem płynąc w gorącym potoku,
Spada na szatę i w jej fałdach stygnie.
Czasem się wyżej podniesie jej łono,
Jakby zbyt duszę palącem westchnieniem,
Ale tak cichem, że najmniejszém drżeniem
Fala powietrza nie jest poruszona.

A jakiež myśli przejmują dziewicę?
Czasem jak chmurką pokryje się czoło,
Czasem wzrok błędny rzuci naokoło,
To znów w ognisko wytęży źrenicę. –
Oto myślała, że Achmed powróci,
Wspólna nadzieja będzie ziszczona,
Że jej tak długie cierpienie się skróci,
I ziemia w niebo zostanie zmieniona;
To znów w gorącej namiętnej zadumie,
Postanawiała, że i umrzeć umie,
A w raju z swoim najdroższym się złączy,
Gdzie już ich miłość nigdy się nie skończy.

Na ojcu ślady starości widniały,
Już ku grobowi nagle pochylonéj:
Miał głębsze zmarszczki, włos jak śnieg zbielony,
Błyszczał przed ogniem jako dąb omszały.
Ciężącą głowę na piersi osunął,
Trzymając w ustach mały cybuch cienki,
Z którego czasem obłoczek maleńki
Dymu wypuścił, to na węgle splunął. (8)
Z piersi się także westchnienie zrywało,
Starzec o córce myślał duszą całą.

On dzisiaj dla niej tylko szczęścia życzy:
Często spojrzenie po twarzy dziewiczej
Wodzi troskliwiej, to znowu boleśniej,

Jakby tych rysów kochanych chciał pytać,
Żeby z nich wyrok stanowczy wyczytać,
I jakiś zamiar wypełnić najwcześniej.
Nareszcie ciężkie stłumiwszy westchnienie,
Takiemi słowy przerywa milczenie:
„ Fatymo, jestem jedną nogą w grobie;
A cóż mi w świecie droższego zostaje
Prócz ciebie córko? Me serce się kraje
Patrząc, żem szczęścia nie zapewnił tobie.
Kwiat twej młodości więdnieje, usycha,
Karmi go długich cierpień gorycz cicha;
Ja na niknącą codzień patrząc ciebie,
Bóg tylko słyszy moją żałość w niebie.
Że Achmed wróci, myśleć o czem niema,
Jego bój święty w wolnych górach trzyma
I długo jeszcze zajmować go będzie; —
Wreszcie on nigdy wśród nas nie osiędzie,
Bo dziś już inne jego przeznaczenie,
Niż zaś z Fatymą moją ożenienie.

Więc słuchaj dziecie, — Bóg nam zsyła szczęście:
Nasz Chan oddawna prosi cię w zamęście —
I już przezemnie obietnica dana;
A jutro chciałbym odwieźć cię tam z rana."

Takiem wstrząśnieniem dziewica zadrgnęła,
Jakby piorunu uderzona razem,

Lub nagłym śmierci rażona obrazem:
Krew się w jej żyłach, mowa w ustach ścięła;
Tylko na starca swe oczy boleśnie
Otworzy, myśląc, czy to jaw czy we śnie? –
Wszystkie się myśli mieszają w jej głowie,
I wszystkie czucia do serca się tłumią,
Lecz żadna z myśli słowa nie wypowie,
Uczucia tylko boleść sprawiać umią.
Już uczuwała mącące się zmysły,
Gdy nagle łzy jej potokami trysły,
I pierś się głośnem odezwała łkaniem,
Potem zawoła z płaczu przerywaniem:

– „Ach ojcze drogi, ach ojcze jedyny!
Czemuż w tych progach niemam zostać jeszcze?
Ja sobie szczęścia innego nie wieszczę,
Jak tobie wszystkie poświęcić godziny.
Czyż nie dość dla mnie, gdy ja w twej starości,
Będę ci zawsze opieką, podporą;
Będę ci służyć zawsze z chęcią skorą,
W jednej rozkazom twoim powolności?
Bo któż ci poda czystszej wody zdroju,
Kto lepszą codzień przyrządzi wieczerzę,
I kto ci przy niej usłuży tak szczerze,
I na noc w słodszym pożegna pokoju?
A kto cię przyjmie w te samotne progi
Kiedy strudzony pracą wrócisz z roli?

Kto cię pożegna, kto powita z drogi
I zawsze czułą miłością okoli?
Kto tobie w długie zimowe wieczory
Rozerwie myśli weselszą rozmową?
Kto zawsze z jedną pokorą gotową
Przeniesie każdy twój gniew nieraz skory?
A kto nareszcie w chorobie, w niemocy,
Będzie cię równie jak ja pielęgnować,
Kto we dnie czuwać, kto niedośpi nocy,
Ażeby każde twe tchnienie zachować?
A kto ci z blizkich, ojcze, zamknie oczy,
Żeby się z tobą w jeden grób pochować?"

— „Me dziecie! śmierć już niedługo zaskoczy,
Więc nie mam czego życiem się frasować,
Dzisiaj mi tylko o twe szczęście chodzi.
A że ty, z młodém swém niedoświadczeniem,
Niewiesz, zkąd dobre i zkąd złe się rodzi,
I co być winno twojem przeznaczeniem;
Więc niech ci mądrość moja przewodniczy,
Bo ona, wierzaj, najlepiej ci życzy.
Choć Chan z prostego Ciebie stanu bierze,
Lecz pod przysięgą rzecz jest umówioną,
Że będziesz jego trzecią ślubną żoną; —
Więc któraż z dziewcząt szczęśliwszą w tej mierze?
I Chan weselnej wyprawy nie żąda,
A tylko ciebie najprędzej wygląda. —

I licznych gości koło już sproszone
Czeka, by ujrzeć nową Pańską żonę.
A gdym obiecał, więc nie zmienię słowa,
I masz na jutro w drogę być gotowa;
Z mą stałą wolą postępując zgodnie! (9)

„Czyliż to jutro ma być niezawodnie!"
Woła dziewica bólem przygnieciona;
– „Dla czegoż jutro, ach! jutro koniecznie?
Czyliż nie może wola być zmieniona?
O! żebyś jutro nie doszło mnie wiecznie!..
Czyli nie wierzysz jak cierpię okrutnie?
Sam na łzy moje patrzysz ojcze smutnie:
Czyliż ból taki ciebie nie przemoże?
O! natchnij mego Ojca wielki Boże!" –

I cała we łzach rozpaczy tonąca,
Na łono ojca tuli się bezpiecznie;
Ale ją starzec od siebie odtrąca,
Milczeniem wyrok dając ostatecznie.
Nareszcie gniewu rzuciwszy wzrok mocny,
Na odpoczynek oddala się nocny.
Potem w komnacie z dziewicy posłania,
Długo śród nocy słychać było łkania.

———— . ————

Nadeszło jutro – jesienny poranek:
Fatyma wyszła na domowy ganek.

W parę najtłustszych wołów pośród stada
Wóz na dziedzińcu czeka zaprzężony,
A kobiercami wokół osłoniony,
Jak dla dziewicy, gdy na ślub weń siada (10)
Koń starca stoi przywiązany zbliska,
Kopytem w ziemię bijąc niecierpliwy,
A rzęd u siodła, ogona i grzywy
Brzęczy i stalą ze srebrem połyska.
Starzec gwintówkę przez ramię już wkłada,
I coś z swym sługą, małym chłopcem gada.

Kiedy Fatymy oczy rozpatrzyły
Owe przybory do drogi weselnéj,
Uczuła drżenie, jakby wóz śmiertelny
Miał ją prowadzić do zimnej mogiły.
I w tej boleści nad miarę okrutnej,
Jakby przed wiecznem z ziemią się rozstaniem,
Na okolicę podniosła wzrok smutny,
Darząc ją swojem ostatniem żegnaniem.

Z morskiego łoża wychylone słońce
Zlewało ziemię odblaskiem purpury;
Nad niem złociło lekkich chmur tysiące,
Rumieńcem róży kwitły śnieżne góry.
Zachód podobny do kryształu ściany,
Z bladym błękitem roztapiał się w górze,
Kiedy na ciemnym, najwyższym lazurze

Księżyc tkwił jeszcze po nocy niespanéj.
W dolinie, rosa srebrzyła się trawa;
A pod górami w lasy ubranemi,
Kryjąc ich stopy zwojami lekkiemi
Stała się ginąc w dali para mglawa,
Lub po wąwozach wieszając się zimnych,
Ulatywała w Niebo w chmurkach dymnych.

Na około wioski sady rozrzucone,
Jaśniały gęstą jesienną zielenią,
W której się złoto i rubiny mienią,
I brylantami rosy potrzęsione.
U stóp szarawej i wilgotnej skały,
W licznych zakrętach strugi bystrej rzeki,
Brzęcząc po głazach, niosły szum daleki,
Z którym się ptaszząt śpiewania mieszały.
Pola po wzgórzach ścierniskami złociły,
Od gór śniegowych ciągnął wietrzyk miły.

Dla czego dzisiaj ta cała przyroda
W takiej piękności odziała się szaty?
Żeby Fatymy wrząca dusza młoda
Czuła tém większy ból od szczęścia straty?...
Czy żeby patrząc na te wszystkie wdzięki
Jak ozdobionej i spokojnej ziemi,
Ta dusza z siły prawie ostatniemi,
W tém się głośniejsze rozdzierała jęki?

Ażeby na to spoglądające życie,
Jak do roskoszy cichej wołające,
Stanęły w myśli zbiegłych mar tysiące,
Czyniące straszliwszem o nicości śnicie?
Czyli nareszcie, by nigdzie pociechy
Przy swém skonaniu nie znajdujące wkoło,
Jeszcze przyrody spotykać uśmiechy,
Jak do rospaczy mówiące wesoło?....

Wtém przed dziewicą w góry zapatrzoną,
Starzec w zupełném do drogi odzieniu
Stanąwszy, wyrzekł: „coś mi dzisiaj pono
Zbyt się oddajesz smutnemu myśleniu?
Czyś już gotowa? Wóz na ciebie czeka,
Trzeba już jechać, bo droga daleka!" —

Fatyma z bólem na ojca spojrzała,
I milcząc poszła za nim drżąca cała,
Jak kwiatek, którym lekki wietrzyk miota;
A jak do trumny i jak trup wybladła,
Zebrawszy resztę sił do wozu wsiadła;
I zaraz domu opuścili wrota.

Miał wówczas Achmed w Chaństwie przyjaciela,
Z wierności swojej dawno mu znanego,
Któremu wszystkich skrytości udziela,
Sławnego jeźdźca, Abdullę młodego.

O tej przyjaźni, od pamiętnej chwili
Ostatniej walki, niejedni mówili;
Lecz tajemnicą była osłoniona:
Wiedziało o niej tylko braci grono,
Którym Abduła mógł zaufać śmiało,
Na których patrząc w pożyciu powszedniem
Wiedział, że żyją z nim uczuciem jednem,
Wierząc w zbawienia drogę duszą całą.

Nieraz złączeni tajemniczem kołem
Śmiałe zamiary i układy tworzą,
Nad ich spełnieniem bliskiem radzą społem,
O własnych siłach za pomocą Bożą.
A kiedy radzą, kto ich w bój powiedzie,
Wtenczas Abduła mówi o Achmedzie –
I rozpalając serca ogniem wiary
O jedną tylko gotowość zaklina;
Bo lada chwila, wolności godzina
Wybije dla nich, zażąda ofiary. (11)

Dla zachowania tajemnicy całej,
Niewiernych wrogów unikając wzroku,
Umiał Abduła w każdym swoim kroku
Być jak lis chytry i jako wilk śmiały. –
I każdy miesiąc, to każdej niedzieli,
To nocą, świtem, lub w dzień mgły ponurej,
To z gór powracał to wyjeżdżał w góry,

A tam z Achmedem zawsze się widzieli.
A gdy był w domu, na przypadek wszelki,
Tak dniem jak nocą i w czujności wielkiéj,
Miał zawsze bronie ostro nabijane;
I ostry kindżał i konia na zmianę. —
Jeszcze dar jeden posiadał Abduła,
Od Stwórcy dobra wszelkiego mu dany,
Za co tém więcej jeszcze był kochany:
Pieśni tworzyła jego dusza czuła.
Kiedy po strunach uderzył palcami,
I pieśń się z jego piersi wydobyła,
Tak była czystą i wielką jéj siła,
Że jakby dziećmi władał słuchaczami.
Więc jak z gwintówką, koniem i kindżałem,
(Chyba wraz z życiem mógł być rozdzielony),
Tak również kochał duszą, sercem całem,
Na dźwięcznem drzewie nawiązane strony.
I nigdy drogie dla pieśni narzędzie
Nie opuszczało z bronią jego boku;
A gdy do drogi na rumaka siędzie,
Chowa je w sakwę uwiązaną w troku. (12)

Gdy Ogaj z Fatmą pierwsze za wsią wzgórza
Już minęli i jadą równiną,
Ginącą w dali przed gór ścianą siną,
Gdzie szczyt nie jeden w mgłę nieba się nurza;
Wtém się Abduła z kamienistej góry

Ukazał konno, jak potok burzliwy:
Koń puścił fale ogona i grzywy,
A on swą burkę nakształt czarnej chmury.
I zbiegł ze szczytu, i już po równinie
Pędzi, powietrze prując jako strzała,
Ziemia od końskich kopyt zatętniała,
A odgłos od nich gdzieś po górach ginie.
Postać się jego naprzód pochyliła,
Jakby się z konia chciał wyrwać w przestrzenie,
Albo tak wrzące niosło go pragnienie,
Albo też myśli niosła lotna siła.
Wzrok swój wytężył na wóz, który wdali
Żółwim się krokiem po kolejach toczył;
Lecz nie doganiał, a ku górom dalej
Pędził zachodnim, co rumak wyskoczył.

Wzleciał jak orzeł bystremi skrzydłami
Na wyniesione pierwszej góry czoło;
A przystanąwszy, spojrzał nabkoło,
Całą równinę mając pod nogami.
Wóz jeszcze chodem swych wołów leniwym
Szedł kolejami równiny długiemi;
A gdy się skrywał za skręty mglawemi,
On ścigał za nim długo wzrokiem chciwym;
Nareszcie konia kolanami ścisnął,
Zwrócił na miejscu — i znów pochylony
Puścił się pędem piorunu w gór strony:
Wiatr tylko za nim wzruszył się i świsnął.

A dążył drogą jak zawsze tą samą:
Już śród sterczących skał rozwartą bramą
Spuścił się w wąwóz pómroką zastany,
Gdzie między urwisk odartemi ściany,
Na kamienistém dnie huczały wody,
Z niebezpiecznemi i rzadkiemi brody.
Skoczył w spienione i huczące fale,
Które koń piersią przerzyna zuchwale;
Ale napróżno prądy rwą szalenie
I odłamami skał, głazami walą,
I miecą drzewa i grube korzenie:
One śmiałego jeźdzca nie obalą!...

Rumak parskając swego pana niesie,
To przeciw falom, to znów za falami,
To po mieliznach, to walcząc z głębiami,
I już na drugą stronę rzeki pnie się.
Parsknąwszy jeszcze, wstrząsł skórą zmoczoną,
A bduła nagle wspiął go znów do biegu,
I już wąwozu pędzą drugą stroną,
Skalistą ścieżką wiodącą po brzegu:
Słychać za niemi śród głębi zamierzchłéj,
Jako echami budziły się skały,
Lub krzyki ptaków, co nagle wypierzchły
Z rozpadlin, w których spokojnie mieszkały.

Z cieniów wąwozu wydarł się na góry

Z

Ubrane bujną nietkniętą zielenią,
Zkąd po dolinach świecą wiosek mury,
Które na okół gęste sady cienią;
Lub na urwiska wspinające się czoło
W słoneczném świetle kąpią się wesoło.
Zkąd widać wszystkie stada i pastwiska,
I pola w nowej barwiące się porze,
Po których rolnik nową skibę orze,
Gdzie niegdzie rzeka w zakrętach połyska.

Tak pędząc coraz górzystszą krainą,
Widoki dolin i pól rzucał za się:
Już mu w oddali takiej wioski giną,
Że się wydają jakby gniazda ptasie,
A każde stado po górach się mieni
Jak garść białawych i drobnych kamieni.

Już tylko orły tam skrzydłami płyną,
Tylko szybują chmury i obłoki,
W których się kryją burze z twarzą siną
I gęstych ulew zamknięte potoki;
Gdzie by go w locie pioruny spotkały,
Lecz dziś go wichry porwać z sobą chciały,
I krył go z koniem śniegowy szron biały.

Gdy rozwidniało śród tych chmur na niebie,
I sam się ujrzał nad ziemią szeroką:

Jakże pierś rosła, cieszyło się oko,
Jakże szczęśliwym i wolnym czuł siebie!...
Pierś rozdymało pobożne natchnienie,
Jakby w niej poczuł głos Stwórcy samego,
I gdzieś daleko i gdzieś nieskończenie,
Nad świat i chmury jego myśli biegą.

Mijając szczytów podniesione głowy,
To znów po krajach spuszczając się niskich,
Gdy słońce było u nieba połowy,
Odpoczął we wsi u znajomych bliskich.
Gdy zaś na zachód chyliło się słońce,
On swe wieczorne odmawiał modlitwy,
Na szczytach, które wśród jego gonitwy,
Sięgały nieba najwyższemi końce.
Uklęknął na wzgórku pachnącej zieleni,
Zda się, że nieba dotykał swém czołem:
Koń jego pasł się niedaleko ziołem -
Ścielą się od nich długie smugi cieni.

Słońce tonące w zachodnich błękitach
Dziergało złotem zawieszone chmury,
Złotem się palił blask na wszystkich szczytach,
Mrok coraz grubszy powlókł niższe góry;
A na lilijowem tle złocące śniegi
Kończyły ziemskie widnokręgu brzegi.
Czystym był lazur w górze i od wschodu,
Oddech się poił orzeźwieniem chłodu. -

Abduła spojrzał na gór okrąg cały,
Potem natchniony podniósł wzrok do nieba:
I każda skarga i każda potrzeba
W jego się duszy boleśnie ozwały.
Z pokorą syna śród swoich pacierzy
Wołał: o Panie! Twa wola jedyna!
Lecz kiedyż nasza zdeptana kraina
Wstanie z pod jarzma bezbożnych żołnierzy?
Kiedyż nie będzie jaknajświętszych związków,
Śród mego ludu zrywanych już więcej?
I pogwałcenia wszelkich obowiązków,
I powtarzania się tych mąk tysięcy?
Panie! spojrz na nas i na nasze chęci!
Czyliż nie czyste nasze poświęcenia?
Czyż z łaski Twojej mamy być wyjęci,
Że nic się w naszej doli nie przemienia?
Panie! proroków naszych prowadź ramię,
Niech ich trud żaden, żadna moc nie złamie.
Panie! chciej skruszyć nasze ciężkie pęta,
Niech się Twa wiara, Panie, szerzy święta! —

Takiemi pacierz ukończywszy słowy,
Wstał i raz jeszcze objął wzrokiem góry,
Potem koniowi odwiązawszy sznury,
Znowu do dalszej drogi był gotowy.
I znów na grzbiecie wiernego rumaka,
Pędzi po górnych falach i wyżynach

Na wzór piorunu, albo Króla ptaka,
Albo się mignie, to skryje w nizinach.
I na zachodniém tle rumieniejącém
Było go widać długo jako płynął,
Aż w zmierzchu coraz bardziéj ciemniejącym,
Pośród gór szczytów i obłoków zginął.

O samą północ, śród gęstej pomroki
Gór i obłoków, na górze wysokiéj,
Tleją gdzie niegdzie obozu ogniska;
A każde zdala tak miga i błyska,
Że się wydają na obszarze ziemi,
Jak gwiazdki między chmurami czarnemi.
W samej zaś głębi i na górze takiej,
Gdzie już się szczyty z obłokami łączą,
Traw zapalonych płomyki się plączą,
Migocąc w różne koła i zygzaki. (13)

Wszyscy snem twardym po obozie spali,
I głucha cichość panowała wszędy:
Czasem koń zarży w obozu oddali,
Czasem zabrzęczą oręże lub rzędy.
Niekiedy wicher skrzydłem porywistém
Wypadłszy z jaru z huczeniem i świstem;
Zamiecie iskry tlejące po ziemi
I znów poleci dalej nad śpiącemi.

Niekiedy strumyk u góry podnóży
Swym cichym szmerem wichrowi zawtórzy.

Achmed sam jeden siedział przed ogniskiem,
Które się jeszcze paliło płomieniem:
Przed nim straż stała w oddaleniu bliżkiém,
Z orężem w dłoniach, z pokornem milczeniem.
Dumał w tej chwili o przeszłości czasach,
I o swych krwawych z wrogami zapasach:
Jak w tej olbrzymiej, nieustannej wojnie,
Swoją chorągiew okrył męstwa chwałą,
A wszystko sprawił z wiernych garstką małą,
Która w obozie teraz śpi spokojnie.
Wspominał, kiedy wśród bitwy najkrwawszej
Nieraz się zjawił w ich ścieśnionem kole,
A ducha swego w ich piersi przelawszy,
Rozpędzał wrogów jako proch przez pole.
I czuł się dumnym i czuł wiarę w siły
Jednego Boga i Proroka Jego,
Na których słowa wierni na śmierć biegą,
Aby ich dusze do raju wstąpiły.

I zasnął myślą ku niebu lecąca
O raju z jego dziewy przeczystemi:
I wszystkie myśli nagle się zamąca
Cudem piękności Fatymy na ziemi.
I wspomnieniami duszę swoją pieści:

Gdzie się z nią widział, kiedy, ile razy,
I jakie z ust jej usłyszał wyrazy,
Jakie czuł piekło w rozstania boleści.
Jej rysy wrzącą przyzywane myślą
Z takiem się życiem i na jawie kréślą,
Że musiał spojrzeć czyli śród ciemności,
Nie zbiegła z niebios do ziemi stęskniona,
Zda mu się nawet, że do swego łona
Ciśnie ją z całą mocą swej miłości.

Lecz inne czucia w piersiach mu zawrzały:
Zemsty i bojów krwi żądza straszliwa,
W swe najsilniejsze, palące ogniwa
Objęła nagle namiętny duch cały.
Jego współbraci wszystkie żale, rany,
Krzyczą do niego jednej zemsty głosem;
A on wskazuje gdzie wróg niezbłagany,
I gdzie uderzyć trzeba jednym ciosem.
I woła: „szczęścia nie będzie w rodzinie,
Póki ostatni podły wróg nie zginie!" –

Pośród tych myśli i marzeń gorących,
Usłyszał nagle echa oddalone
Od końskich kopyt po błoniu tętniących:
I bystre oczy obrócił w tę stronę.
Widocznie pędził ktoś ku obozowi:
Już słychać hasło i ktoś mu odpowie.

Abduła nagle stanął przed ogniskiem,
Z zadyszanego skoczywszy rumaka:
Achmed na widok znanego śpiewaka,
Wita go mile z uśmiechu odbłyskiem.
W obozie ze snu zbudzeni w tej chwili,
Z gwarem radości przed ognisko biegą,
I ścisłym kręgiem gościa otoczyli,
Bo każdy pragnie słyszeć coś nowego.
Abduła zewsząd zbiera powitania,
A pot ociera i zdjął czapkę z głowy;
A na ciekawych różne zapytania
Takiemi wreszcie odezwał się słowy:

„Na wszystko czego żądacie odemnie,
Mógłbym wam piosnkę na odpowiedź złożyć,
Lecz na czas inny muszę ją odłożyć:
Mam coś pomówić z Achmedem tajemnie."

Achmed dał rozkaz odejścia skinieniem:
I zaraz wszyscy z półgłuchem gwarzeniem
W różne się strony obozu rozsiali;
Achmed z Abdułą sami pozostali.
Abduła wyrzekł po chwili niedługiej:
— „Kiedym równiny mijał kręte smugi,
Wóz się po drodze toczył z narzeczoną;
Była to Fatma, tak Fatma Achmedzie!
Którą dla Chana stary ojciec wiedzie:
Może w tej chwili jest już Chańską żoną."

W piersi Achmeda zatrzęsło się piekło:
Na całej ziemi mało krwi mu było!...
Za kindżał chwycił ręką drżącą, wściekłą,
Jego oblicze strasznie się zmieniło.
Wszystkie uczucia, jakie się ścierały
W głębinach duszy: szalonej zazdrości,
Zemsty i żądzy krwi zapamiętałej,
Ze wspomnieniami najczulszej miłości,
Wszystkie się w jego twarzy odbijały –
I wszystkie nagle krzyżując się razem
Były tej duszy wzruszonej obrazem.
Usta mu drżały jako liść osiki,
Ocz błyskawice nocną ciemność pruły;
Ale poskromił na chwilę duch dziki,
I pewnym głosem wyrzekł do Abduły:

„Bądź mi natychmiast do Imama posłem,
Powiedz, jak srogą obrazę poniosłem,
I że to pierwsza ma prośba do niego:
Niech mi jak łaskę, jak wynagrodzenie,
Da głowę Chana, tego psa podłego.
Że więcej nie chcę, żem na bój gotowy,
I wrócę w góry z mym zastępem cało;
A na niewiernych rzucim postrach nowy,
I nową zwycięstw okryjem się chwałą:
Pędź!" I Abduła już siedział na koniu –
I ledwie wyrzekł: „zręczy ci ma głowa". – (14)

Koń kopytami już zatętniał w błoniu
I już się z jeźdźcem w ciemniach nocy chowa.

„Na koń!" wykrzyknął Achmed głosem gromu,
Który do krańców obozu dobiega:
Na koń! wołanie wszędzie się rozlega;
Lecz gdzie i po co, nieznaném nikomu.

Achmed przed swojem ogniskiem stał jeszcze;
A obnażywszy Kindżała żelazo,
I wzrok wpoiwszy w te ostrza płowieszcze,
Lśniące od ognia, splamione krwi skazą,
Widać paśł duszę zemsty bujną strawą,
Bo się uśmiechnął nagle, dziko, krwawo.

Potem spostrzegłszy, że oddział gotowy,
Wskoczył na konia, zabrzękły podkowy,
A przed swojemi stanąwszy szykami,
Wzniósł Kindżał w górę, krzyknął: „Bóg jest z nami,
Śmierć psom niewiernym!" puścił się jak strzała,
I chmura szyków za nim poleciała,
Z hukiem i wyciem nagłej w górach burzy,
Gdy jej grom razem i wicher zawtórzy. —

III

Wesele

Chan w najwspanialszej zamkowej komnacie (15)
Ucztował, przy nim tłum weselnych gości:
Wszystkie ich twarze lśnią od wesołości,
A wszyscy prawie przy zmysłów utracie.
Brzęczały struny z dźwiękiem tamburyna,
Od klaskań, krzyków drży cała komnata,
Piękna jak huri tańcuje dziewczyna,
Od srebra, złota, błyszczy na niej szata. (16)

Podniosła w górę okrągłe ramiona,
Ogniem roskoszy oddycha oblicze,
Spuściła rzęsy na oczy dziewicze,
Z puklami włosów powiewa zasłona.
To prędzej skoczy, to wstrzymuje kroki,
Jej twarz wstydliwą kryje białe ramię,
A jej się kibić w różne kształty łamie,
W coraz cudniejsze zdobiąc się uroki.
Niby miłosne unosi postrzały
Śród nieznanego sobie przelęknięcia,
To niby biegnie w najdroższe objęcia,
Gdzie ją niebiańskie roskosze czekały. (17)

Tłum coraz bardziej huczy zachwycony,
Nowa się roskosz w każdej twarzy śmieje;
Gdy wciąż trujący napój potępiony (18)
W bawolich rogach obchodzi koleje.
Chan w samej głębi siedział półdrzemiący,
Schyloną głowę oparłszy na ręce:
Niedbale wisi na nim strój błyszczący,
Lica splamiły roskosze zwierzęce.
Czapka niepewnie trzyma się nad czołem,
Oczy pijanem zataczają kołem;
Tylko gdy taniec więcej go podrażni,
Lub wrzask śród tłumu zawrze z taką siłą,
Że mógłby trupa wstrząsnąć pod mogiłą,
Natenczas oczy podniesie uważniej,
Stara się nadać trzeźwość swej postaci,
I znowu czucie i widzenie traci.

Przy nim sług kilku najwierniejszych stało:
Ojciec Fatymy siedział sam na boku;
A widać było w tego starca oku,
Że pośród wszystkich weselił się mało;
Raczej ukrywał w swej duszy zatrutej
Smutek, lub może sumienia wyrzuty.

Tancerka nagle pierzchła z pośród koła,
Goście o drugą wołać poczynali,
Gwar huczał, w rogach szła kolej wesoła:

Nagle Abduła ukazał się w sali.
Wszyscy go jednem przyjęli witaniem,
I sam Chan nawet uczcił go uwagą;
Bo rzekł do niego z umyślną powagą:
„Cóż to, przyszedłeś ze swojem śpiewaniem?"

— „Tak jest", Abduła odrzekł, – „Święty Chanie –
— „Świętym nie jestem, już zaczynasz łganie?
Znam ciebie ptaszku, lubisz latać w góry,
A przytem różne roznosić tam wieści:
Może twej duszy niedobrze śród skóry,
To ją wypędzę, – w piekle się pomieści." –
— „Nie, jak najświętszy Chanie! tego niechcę.
Zwłaszcza, że dzisiaj jest twoje wesele:
Lepiej wesołość z innymi podzielę –
I swém śpiewaniem twą duszę połechcę.
Jeśli rozkażesz, to zaczynać mogę."
— „Więc sobie śpiewaj, wszystko mi dziś jedno;
Tylko pamiętaj na swą duszę biedną,
Że niezbyt miłą może odbyć drogę." –
— „Twa wola Chanie, wszystko tutaj znaczy" –
Odrzekł Abduła i uderzył w strony;
A gdy wzrok podniósł w górę zachwycony,
Taka pieśń wstrzęsła piersiami słuchaczy:

Piękną jest róża w pierwszym ranku maju,
Kiedy zaledwie z pączka się rozwinie;

Piękniejszą była dziewica w tym kraju,
O której pieśń ma z dźwiękiem strun popłynie.
Mogłeś ją ujrzeć śmiertelny człowiecze,
Kiedy codziennie, pilnując zwyczaju,
Szła czerpać wodę z dzbankiem do ruczaju,
Który w jej wiosce pod skałami ciecze.
A gdy ją grono rówiennic okoła,
Tak się odznacza jej postać wyniosła,
Jako wysmukła i giętka topola,
Która śród drzewin drobniejszych wyrosła.
Jej białe dłonie z członkami miękkiemi
Niosąc wypukły dzbanek na ramieniu,
Pieściły oko wdziękami takiemi,
O jakich nawet nie śniłeś w marzeniu.
Tak idąc płynie, jakby po obłoku:
Kiedy z pod lśnej złotem szaty krótkiej
Miga skład nogi śnieżnej i drobniutkiej,
Najpiękniejszego na ziemi uroku.
Jeśli z pod drżącej od wiatru zasłony,
Na dzienną jasność błysło jej oblicze,
Uczułeś, widząc te wdzięki dziewicze,
Jak Stwórca w swoich cudach nieskończony.
A taka białość tego lica była,
Promieniejąca i przejrzysta przytem,
Żeś wtenczas poznał co jasności siła,
Co to jest z słońcem spotkać się odkrytem.
Na jej jagodach rośnie puszek róży,

Nad czołem zwoje czernieją warkoczy,
Na drobnych ustach barwa się purpurzy,
Pod długą rzęsą skrywają się oczy.
A taka słodycz była w jej uśmiechu,
Tchnąca wszystkiemi roskoszami nieba;
Że od tych czarów brzydła skaza grzechu,
A rosła w duszy zbawienia potrzeba. (19)
A gdybyś głosu jej usłyszał dźwięki,
Tak przenikały do duszy głębiny,
Jakbyś pieszczotę czuł anielskiej ręki,
Która cię niesie do rajskiej krainy.
Jeśli zaś wiatér zasłony obłokiem
Igrając, odkrył jej piersi granaty,
Które przysłaniał rąbek lekkiej szaty,
A każde tchnienie oddechu ruszało;
Pod tym widzenia nadziemskim urokiem,
Czuć przestawałeś, że jesteś na ziemi,
A uniesiony siły nieznanemi,
Ginąłeś w niebie swą istotą całą.
Lecz był i młodzian w całej wiosce znany:
On złą dziewicą kochali się wzajem;
A już się mieli złączyć życia rajem,
Gdy został inny na męża wybrany.
A więc osądźcie, o słuchacze moi!
Jeźli kochanków srogi los rozdwoi,
Czy pieśń wynajdzie wyrazy boleści,
W której się naraz tyle uczuć mieści?..

Ale Bóg czasem związkom się sprzeciwi,
Jednak on miłość dla kochanków stworzył,
Więc jeszcze chwilkę czekajcie cierpliwi,
Może on koniec ich bólom położył."

Tłum coraz bardziej pieśnią zachwycony,
Klaszcze i woła: ach duszo ma duszo! (20)
Śpiewak wstrzymuje brzmiące dotąd tony,
W jego strunach inne się poruszą.
Przez chwilę milczał, ... na tych co klaskali
Spojrzał z podzięką – i zaśpiewał dalej: —

Gdy pierwszy święty padł na Gimrów ścianach, (21)
I duszę rajska przyjęła kraina;
Gdy najwierniejsza upadła drużyna,
Połowa ludu została w kajdanach;
Gdy Bóg jednakże nie odwrócił lica,
A jeszcze Jego wierni pozostali,
I walkę, której sława nam przyświeca,
Z tém samem męstwem prowadzili daléj;
Kiedy niewierny po krainie całej,
Roznosząc oręż śmierci i pożogę,
Otwierał sobie nową łupów drogę,
I wsie bezbronne koleja padały;
Wtenczas to wtenczas pognały młodzieńca
Zemsta i sława, z rodzinnej wsi w góry;
Wtenczas swą miłość dla bojów poświęcał. —
O! większej duszy czy był młodzian który?

Ale słuchacze! czy tém poświęceniem
Mógł zabić także pamięć ukochanéj,
A z nią ból nigdy niezgojonej rany,
Która się krwawi za każdem wspomnieniem?
Czy sięta pamięć w umyśle rozproszy,
Nawet śród zwycięztw największych na ziemi,
Gdyśmy już mieli dotknąć się roskoszy,
A ta odleci skrzydły zdradliwemi?
Czyliż po takim okrutnym rabunku,
Jaki los dwojgu kochankom uczyni,
Nawet najtwardsze serce ich obwini,
Że pragną usta złączyć w pocałunku?
I żeby sięgnąć tej rajskiej krainy,
Czy jest na świecie dla nich co trudnego?
Przez ofiar drogi, lub przez krwawe czyny,
Oni do celu swych marzeń dobiegą! –
Może umarli... i młodzieniec w niebie
Pieści się z dawno szukaną huryską;
A może tutaj – i od niej gdzieś blizko...
I jeszcze skarb swój odbierze dla siebie?...

Jakiż jest koniec tej powieści przecie
Zapewne pytać ciekawie zechcecie? –

O duszo! duszo! znów wołali w tłumie.
Chan się odezwał przytłumionym głosem:
„Czy śpiewak pieśni weselszych nie umie,
„Że nas utrudza smutnym głupców losem?" –

— „Mogę zaśpiewać i z innego wątku" —
Prędko rzekł śpiewak, — „źle poszło z początku;
Lecz teraz myślę porzucić rycerze,
A niezwalczona ochota mnie bierze
Swoją pieśń Chańskim poświęcić wielkościom;
Może się tobie spodoba i gościom!" —
Głuchym się szmerem tłum poruszył cały,
I takie znowu tony się ozwały:

— „Mówią, Chanowie słynęli przed laty
Z prostoty w swoich obyczajach srogiej;
Przyodziewali się w te same szaty,
Jedli i pili, co i lud ubogi.
Chanowie władzę wtenczas piastowali,
Jak kazał święty zakon, zwyczaj stary:
Lud znosił nieraz najdotkliwsze kary,
Lecz wszyscy Chana czcili i kochali. —
Chanowie także słynęli powagą
Między swoimi i między sąsiady,
I gościnnością, i w boju odwagą,
Życiem bez wszelkiej potępionej wady.
I jeśli kiedy lud był zagrożony
Od obcych wrogów o własności swoje,
Chan pierwszy siadał na koń dla obrony,
I sam na czele ludu staczał boje.
A gdy chodziło o świętości wiary,
O czystość rodzin, lub obyczaj stary,

Chanowie umrzeć byli wprzód gotowi,
Nim bezbożnemu ulegnąć wrogowi.
A teraz słychać, że na to swej władzy
I swej powagi używają Chani;
Aby ich ciężar przenosząc poddani
Chodzili zawsze głodni i pół-nadzy).
Bo dziś Chanowie zbierają podatki
Z ciężkiego znoju ludu wyciśnione,
Ażeby kupić niewiernych manatki,
Jedzenia, picia różne wymyślone.
O! teraz wielką gościnnością słyną:
Bo gdy na zamku brzmi huczna biesiada,
Do niej wróg także niewierny zasiada,
I wspólną przyjaźń rozwesela wino!
Teraz o! wierni, moja pieśń się wzdryga;
Bo gdy lud cały w pętach hańby żyje,
Chan nikczemnością niewiernych prześciga,
Gnąc w jarzmo wrogów swego ludu szyje!..
A ta bezbożna, hańbiąca robota
Spodlenia ludu, poniżenia wiary),
Jest zapłaconą przez niewiernych dary,
Blaskiem brylantów i brzęczeniem złota.
Na twojej duszy, o przeklęty Chanie,
Ciąży podobne ludu zaprzedanie!"... (22)

— „Ściąć mu łeb, temu psu najpodlejszemu!"
Chan całem gardłem wrzasnął w wściekłym gniewie:

Śpiewak bił w struny aż jęczało w drzewie:
— „Przeklęty!" wołał: „nowa zbrodnia czemu?
Masz już przekleństwo, przyjdzie ukaranie,
Lepiej się z podłą duszą rachuj Chanie!" —

W struchlałym tłumie żaden ze słuchaczy,
Ani się żaden nie poruszył sługa:
— „Czegóż stoicie? czego zwłoka długa?
Co się wam stało, co to wszystko znaczy?"
Znów Chan zawrzeszczał: „O! nikczemne tchórze!
Czyż nie możecie zabić tego psiaka?
A więc to wasza wierność dla mnie taka?
Prędzej! bo kindżał w waszej krwi zanurzę!" —

W tej samej chwili za komnaty progiem,
Pośród obszernych zamkowych podwórzy,
Krzyk dał się słyszeć z huczeniem złowrogiem
Szczęku oręża, czyli jakiej burzy.

Gniewna twarz Chana śmiertelnie pobladła,
I wszystkie twarze bojaźń śmierci bieli:
Każdego dusza strwożona odgadła,
Że się przybliża straszny miecz mścicieli.
Każdy broń chwyta, szuka jej za pasem:
Huk, szczęk, czy burza zbliża się z hałasem..

W tem nagle z coraz rosnącym łoskotem,

Z

Jak z przeciągłemi wichrami i grzmotem,
Achmed na czele, z wiernych garstką małą,
Wpada do sali drzwiami złamanemi:
Ściany się wstrzęsły strzały śmiertelnemi,
Tysiące się błysków szabli skrzyżowało.

Próżno ten słabą ręką się obrania,
Ten w Imię Boga i Proroka błaga:
Niema żadnego, niema zmiłowania!
Krew lać się musi, dobyta broń naga!
W komnacie, w której huczało wesele,
Krwi już potoki, gęsty trup się ściele.

Achmed najpierwej przyskoczył do Chana,
Który wystrzelił; ale z drżącej dłoni
Wystrzał na jedną chwilę go nie broni;
Bo już zamachem jednym odrąbana
Tarza się Chańska głowa, w krwi zdeptana.

Achmed się wraca środkiem bojowiska
I wszystko przed nim ustępuje z drogi:
Skrwawionym ostrzem nad głowami błyska,
I pędzi prosto, gdzie haremu progi!....

W ślubnej komnacie, w głębokiem milczeniu,
Przy błędném małej lampki oświetleniu,

W stroju weselnym siedziała dziewica
I Baku, stara chańska powiernica.

Fatyma w myślach pogrążona, blada,
Dziwacznym wzrokiem wodzi naokoło;
Na słowa starej nic nie odpowiada,
A na jej żarty albo myśl wesołą
Odwraca oczy i zacina usta,
I jeszcze bardziej blednieje jak chusta.

Stara zaczyna temi mówić słowy:
—„ Powiedz Fatymo, dla czego te smutki?
Czyliż ci łaski nie dosyć Chanowéj?
Otwórz mi swoje serce bez ogródki;
Czyżbyś ty żyjąc w ubogiej ustroni
Użyła tego w miljonowej części,
Co w domu Chana los dla ciebie szczęści
I tak obficie do nóg twoich kłoni?
Czyżbyś ty nawet widziała na oczy
Wszystko co tutaj będzie twą własnością
I w okół świetnym blaskiem cię otoczy,
Gdy Chan cię swoją obdarzył miłością?
Tyś najszczęśliwsza ze wszystkich kobiéta!
Chanowe żony już brzydkie, nie młode,
A Bóg ci przecież piękną dał urodę;
Umiej się tylko podobać – i kwita!–

Przytém Chan stary pragnie bardzo syna;
Więc gdy tej jeszcze radości przyczyna
Zwiększy dla ciebie czułe łaski Chana,
Wtenczas choć jesteś tylko dziewką prostą,
Będziesz za pierwszą żonę uważana,
Jak mi powtarzał o tém razy po sto.
Czyli lepszego możesz żądać chleba?
Chyba że tobie zachciało się nieba!" —

W miarę jak syczy starej gadanina,
Fatyma w duszy czuje dziwną wojnę;
Jej twarz się nagle zmieniać rozpoczyna,
Postać wyraża ruchy niespokojne.
Zajęta myśli wykonaniem bliskiem,
Za wyrazami starej ostatniemi,
Do okna izby nad stromem urwiskiem,
Nagle podeszła krokami pewnemi,
I otworzyła z drzewa okiennicę:
Księżyc i gwiazdy w tych murów otworze
Błysnęły w ciemnym niebieskim przestworze;
Lecz nie noc piękna czaruje dziewicę:
Ona rozpaczą długą utrudzona,
Za okno białe wyciągnęła ręce,
Spojrzała na dół, gdzie skaliste łona
Przyjmą jej ciało, dając koniec męce.

I już jej postać ugina się, chyli,

Gdy nagle Baku w tej stanowczej chwili,
Myśl samobójstwa zgadłszy tajemniczą,
(Bo równie była mądra jak złośliwa.)
Skoczyła z miejsca i kibić dziewiczą
W swoje wychudłe ramiona porywa.

Będąc już pewną swej zdobyczy drogiej,
Ciągnie ją całą siłą do podłogi,
A z dzikim krzykiem zgłodniałych szakali,
Woła na sługi, żeby pomoc dali.
Lecz nikt na krzyk ten nie przychodził z domu:
W Fatymie nowa obudza się siła,
A niech to dziwném nie będzie nikomu,
Że nagła zmiana walki nastąpiła.
Z owej dziewicy wątłej i niknącej,
Starganej bólem, a zda się za tchnieniem
Najlżejszem wiatru ulecieć mogącej;
Której za puchu miękkiego dotknieniem,
Pieszczone ciało mogło być draśnione,
Do rajskiej tylko roskoszy stworzone;
Z owej istoty ciszy i pokory,
Gdy ją śmierć swoją roskoszą zachwyca,
Robi się w chwili, jakby piorun skory,
Drapieżna, z siłą nadzwyczajną lwica.

I gdy na ziemi jęknęły dwa ciała,
Fatyma starą za gardło trzymała:

I w tego gardła wyprężone żyły
Z taką się mocą jej palce wpoiły,
Że jak najtwardsze ściskające się kleszcze,
Krzyk i oddechy tamowały w szyi:
Bahu się wiła podobna do żmii,
Ostatnich sił swych dobywając jeszcze.

W tém do Fatymy z weselnych pokoi
Dolecą strzały, krzyki i szczęk zbroi:
Ona nad starą napół pochylona
Twarz niespokojną zwraca ku progowi;
Palcami słucha czy ofiara kona,
A u drzwi pyta, co ten hałas powie.
Jej twarz jak marmur zrobiła się blada,
Pot w zimnych kroplach z jej czoła opada.

W takiej to chwili swoją narzeczoną
Odszukał Achmed w haremu ustroni,
Wpadłszy w te mury słabo oświecone
Nagły jak piorun, z krwią na swojej broni.
Krzyk przeraźliwy wydała dziewica,
Padłszy bez zmysłów; – Bahu z jękiem kona,
Achmed Fatymę porwał na ramiona,
A wszystko trwało jakby błyskawica.

Wkrótce, szeroko rozdęte płomienie,
Objęły sobą wszystkie zamku ściany:

Oddział Achmeda pędził skierowany
Ku śnieżnym górom, skryty w nocne cienie.
Tylko w promieniach błędnego miesiąca,
Na siodle jeźdźca jednego migała
Na pół zwieszona postać bielejąca;
Od niej kobieca szata powiewała.

Z pod zgliszczów zamku, na drugi dzień rano,
Rozliczne szczątki trupów dobywano:
Chańskie do kości opalone ciało
Jeszcze na sobie reszstki szychu miało;
Lecz po szukaniu długiém i daremném,
Ojciec Fatymy niebył znaleziony:
Czy przez Achmeda został oszczędzony,
Czy zginął także, dotąd jest tajemném.

Ponad trupami zebranemi w stosy,
Płaczki piers tłukąc i rwąc sobie włosy
Głośne i ciężkie zawodziły żale, (23)
Które na całą wieś się rozchodziły;
A nocną porą znęcone szakale,
Przeciągłe z niemi szczekania łączyły. (24)

Przypiski do tekstu.

1. hury, dziewica raju mahometańskiego.

2. Kobiety chodzą w pantofelkach z korkami, zwanych: Kosz, które za każdém stąpieniem stukają.-

3. Jedzenie stawiają na ziemi, na rozesłanych matach lub kobiercach, i jedzą siedząc na ziemi według zwyczaju wschodniego.-

4. Biorą jedzenie palcami, nieużywając żadnych narzędzi, a po jedzeniu obmywają ręce, do czego obnosi się w metalowym lub glinianym dzbanku czystą lub pachnącą wodą, metalowe lub gliniane miski i ręczniki.

5. Nieraz po zdobyciu jakiej wioski lub okolicy, dochodzą do obozu rosyjskiego z pobliskich gór, śród późnego wieczoru lub nocy, śpiewy składające się z obelg i przekleństw na niewiernych wrogów, lub wezwania wiernych do walki.

6. Cały Dagestan składa się z Chaństw i z prowincyji lub gmin tak zwanych wolnych, rządzących się najrozmaiciej własnemi ustawami i zwyczajami. Chaństwa zajmują szeroki pas między brzegami Kaspijskiego morza i podnóżem głównego grzbietu, i one najdawniej przez rosyjan zawojowane zostały i rządzone dalej przez pośrednictwo dawnych

Chanów, obróconych na Jenerałów lub Półkowników, z dodanymi im oddzielnymi urzędnikami. Smamowie utwierdziwszy się w górzystych prowincyach, może dotąd jeszcze nie zupełnie znanych, dalsze kroki wojny kierowali ku Chaństwom. Dla tego prowincye przyległe Chaństwom najwięcej od wojny ucierpiały: ogromna ilość ich wsi zamienioną została w gruzy, a mieszkańcy którzy uszli zagłady, rozpierzchli się w góry lub w spokojniejsze prowincye Chańskie.

7. W prowincyach zawojowanych, wojska rosyjskie nie tylko zajmowały umyślnie budowane przez siebie fortece i inne miejsca zwane głównemi kwaterami, ale po większej części rozstawiane były po wsiach.

8. Siedzenie na ziemi przed ogniskiem, paląc fajkę i spluwając na węgle jest powszechnym zwyczajem mężczyzn. W izbach domów Dagestańskich i na całym Kaukazie niema pieców, a tylko w rogu urządzone jest miejsce w kształcie kominka, gdzie bez przerwy pali się ogień lub tlą węgle. Jest to prawdziwe domowe ognisko, bo przy niem się jada, pracuje, odpoczywa, bawi, tak w kółku rodzinnem jak z przyjaciołmi, wyjąwszy dni letnich, kiedy to wszystko znowu odbywa się na gankach.

9. Chan może mieć tylko trzy ślubne żony, które

z

powinny pochodzić zawsze z Chańskich rodzin i niewolno ich oddalać, chyba za największe przestępstwo według osądzenia duchownych, co się prawie nigdy nie zdarza. Ale prócz tych, wolno posiadać z innego stanu, a nawet z pomiędzy poddanych tyle żon ile się podoba i oddalać je podług upodobania za wypłatą tylko umówionego Kałymu. W tym ostatnim jednak razie zdarzają się inne umowy, lub sami Chanowie żyją z takiemi żonami do śmierci i nadają im, jak równie zrodzonym z nich dzieciom, znaczne dziedziczne majątki. Dzieci takie nazywają się Dżankie i używają wszystkich przywilejów Chańskich, z tą tylko różnicą, że nie mogą być następcami jego panowania, chyba w braku synów z żon ślubnych. Narzeczone z rodzin Chańskich, winne są wnosić posagi i wyprawy weselne, lecz pochodzące z prostego stanu nie mają tego obowiązku, bo się je po prostu kupuje. Zaślubinom towarzyszą zawsze uroczystości weselne, trwające czasem dwa tygodnie z przepychem i obrzędami odpowiedniemi ważności jaką Chan nadać pragnie temu aktowi. Są one konieczne przy zaślubinach z Chanównami, lecz przy innych, zależą od woli Chana. Wszystkie te przepisy i zwyczaje są jednakowe dla wszystkich stanów.—

10. W całym Dagestanie kobiety jeżdżą zwyczajnemi wozami o dwóch kołach, służącemi zarówno do wszystkich potrzeb gospodarskich - zwanemi arby, do których zaprzęgają się woły. Innych wozów i zaprzęgów nie używają. Dla narzeczonych urządzają na tych wozach budki pokryte naokoło kobiercami.

11. Między mieszkańcami prowincyji zawojowanych i miurydami czyli wojskiem Imamów, nieprzerwanie trwały tajemne stosunki. Mnóstwo w tych stosunkach pośredników i posłów, przypłaciło swe poświęcenia życiem.

12. Takich śpiewaków ludowych mnóstwo znajduje się w Dagestanie; każda wieś prawie ma swego a czasem dwóch i więcej. Śpiewają pieśni językiem turecko-tatarskim, powszechnie przez wszelką ludność oświeceńszą rozumianym, ale prócz tego tworzą sami w językach miejscowych pieśni zastosowane do okoliczności, lub je na żądanie improwizują. Towarzyszą sobie na instrumencie o trzech strónach w kształcie małej gitary, zwanem saas.

13. W jesieni zwykle mieszkańcy zapalają trawy na górach.

14. Zwyczajne zaklęcie siebie, że rzecz będzie wykonaną.

15. Chanowie zamieszkują własne domy, zbudowane

z

zwykle w obszerny prostokąt z dziedzińcem w środku, i otoczone wysokim murem z basztami i strzelnicami, dające im pozór obronnych zamków.

16. Na jednych tylko weselach mogą znajdować się kobiety. Według zwyczaju obecni mężczyźni w czasie tańców klaszczą w takt i wykrzykują, ha! ha!...

po tatarsku: toj.

17. Jest to taniec solowy nazwany lezginka.

18. Muzułmanom nie wolno pić żadnych trunków, gdyż te potępione są Koranem.

19. „Zbawienia" według religijnych pojęć muzułmanów, to jest dostąpienia raju, gdzie używa się wiecznej roskoszy z huryskami.

20. Ach dżanem, ach dżanem! duszo ma! zwyczajny okrzyk zachwycenia przy pieśniach.

21. Kazij - mułła.

22. Chanowie jako władcy dziedziczni, wywodzący się od arabów, byli zaciętymi nieprzyjaciołmi miurydyzmu, usiłującego znieść wszelkie przywileje stanów i wszelkie władze, a wszystkie ludy poddać pod jedną nieograniczoną władzę Imama. Ztąd ich uległość i sprzyjanie rossyanom, na których panowaniu opierali swą egzystencyę, pomimo skrytej nienawiści jako do zdobywców i niewiernych. Pieśń Abduły wyraża zarzuty, jakie Chanom czynili prawowierni miurydzi.

23. Jest to zwyczaj przy każdym zmarłym.
24. Na Kaukazie jest mnóstwo szakali, które często wieczorami lub nocą zbliżają się do wsi napełniając okolice swojem przeraźliwem szczekaniem, podobnem do wrzasków i jęków niemowląt. –

Pieśń Druga

Posłańcy

Odkąd po górach święte znamie wiary
Zatknęli Boga prawdziwi wodzowie; (1)
Ileż to czynów i jakie ofiary!...
Które potomkom kiedyś pieśń opowie.

Przy ciągłym huku dział i wojny krzyku,
Śród dymów, zgliszczów, przy świetle pożarów,
Śród wyniszczonych całych pól obszarów,
Zginęło dotąd obrońców bez liku;
A ileż trupów kobiecych i dzieci
Wala się w strasznej tej wojny zamieci?!

O! pewnie tyle krwi się już przelało
I też śród jęków niebiosa przebodło;
Że z krwi nie jedno jezioro by stało,
A z łez nie jedno wyciekło by źródło.

Niechaj zaświadczą tylu wiosek ściany

O które przemoc niewiernego pryska,
Gdzie każdy kamień wierną krwią oblany,
Gdzie tylu wiernych padło pod zwaliska!

Niech kto zapyta po Samur ponury,
Po brzegi morza, po szczyty śniegowe,
Każdej doliny, grzbietu, skały, góry,
A niech powiedzą choć tylko połowę:

Lub niechaj wichry po szerokiej ziemi
Wyjęczą ile prochów tam rozwiały,
I niech rozniosą echami grzmiącemi
Chwałę tych bojów na świata krąg cały.

Gdy w Dagestanie wola Boga sama
Wybrała wiernym Szamila Imama,
On dziś w swej władzy ma obszerne kraje;
A Bóg wszechmocny zawsze pomoc daje:
Bo to nie ludzkie mogły sprawić siły,
Ni żaden rozum, ni ludzka moc ducha,
Żeby chorągwie wiary tam utkwiły,
Gdzie dzisiaj lud już swego Boga słucha.

O! ty najpierwszy i święty Imamie,
Boski wybrańcze, Kadij-Mahomecie!
Poglądasz z raju na to bujne kwiecie
I błogosławisz Szamilowe ramię.

Ale nie wszystkie wierne ludy jeszcze
Z wiarą zbawienia oddały się jemu;
Duchowi zdawna w wierze upadłemu,
Długo być muszą skryte drogi wieszcze.

Szamil na Kajtach patrzył się z boleścią (3)
Lecz miał przy sobie świętego Jakiję:
A pośród wszystkich, wyższe moce czyje
Mogły lud natchnąć wybawienia wieścią?

Jakija przybył w góry niepodległe
Ze wsi rodzinnej, z dolin Dagestanu;
Był zamożnego dawnych beków stanu,
I miał po przodkach majątki rozległe,
A w nich, co tylko opatrzność na ziemi
W bogactwie, szczęściu, z roskosze rajskiemi,
Może dla człeka zestać na użycie,
Jakija wszystko posiadał obficie:

Obszerne, bujne w różne ziarno pola,
Żyzne pastwiska, stada niezliczone,
I najpiękniejszą, jako huri żonę,
Gdy grono małych dziatek go okola.

Ale Jakija inne przeznaczenie
Przedsięwziął spełnić śród ziemskiej podróży;
Duch jego więcej ziemi już nie służy,
Wiedzie go wyższe niebieskie natchnienie.

Odtąd, pacierze zwyczaju świętego,
Czytanie pisma, rozmyślania, posty,
I cały żywot surowy i prosty,
Stały się zwykłym obyczajem jego.

On obrał sobie za pracę powszednią
Otrząsać z duszy wszelkie brudy ziemi;
Gdyż dusza żyjąc ciemnością poprzednią,
Nasiąkła wielu grzechami ciężkiemi;
A tylko w duszy grzechem nieskalanéj,
Jest siła w drodze dla Boga obranéj. -

Jakiż poświęceń i jakiż cnót plonem,
Przez jakie próby, umartwienia ciała,
Życiem bez skazy z ciała wyzwolonem,
Przez niedościgłe i nadziemskie moce;
Święcąc téj pracy całe dnie i noce,
Dusza niebieskiej granicy dostała; -
To dla dusz marnych będą tajemnice;
Lecz lud w nim poznał cel życia dopięty,
Ujrzał w nim światła niebieskiego święcę:
Jakija stał się po krainie święty.

I ze stron różnych, dokąd imię jego
Doszło ze sławą jego cnoty wielkiéj,
Cisną się liczne tłumy koło niego,

Pragnąc nauki i pociechy wszelkiej,
Lub aby ujrzeć, usłyszyć Świętego.

A zawsze słowa zbawiennego ziarno
Padało w duszę i tam kwitło ono;
I w niebo wzniosło się niejedno łono,
Gardząc już dawną ziemską drogą marną.

Pahija dalszą drogi swej koleją,
Z kraju do kraju, od wioski do wioski,
Szedł wszędzie głosić święty wyrok Boski,
Wszędzie pocieszać zbawienia nadzieją.

Dziś jego żona i sieroty małe,
Po cudzych progach wiodą byt tułaczy,
A jęk ich żalów, skargi i rozpaczy,
Przenika nawet w serca skamieniałe.
I nic się z jego nie zostało mienia,
Ni z jego domów, pastwisk ani błoni,
Bo jeśli uszło co niewiernej dłoni,
To reszta pada śród opustoszenia.

Imam raz jeden tak wyrzekł do niego:
– „Oto w Kajtachu lud zbawienia pragnie, (3)
Więc czyją poszlę moc do ludu tego,
Kto jego ducha na drogę prawd nagnie?"

— „Jam gotów umrzeć, odrzekł wieszcz natchniony,
Ślij mnie, mnie dawno znajome te strony."

Pakija poszedł do ludu Kajtachu,
A po wsiach różnych, kiedy stawał w tłumie,
Przytkań i westchnień przerywanym szumie,
Mówił słowami niebieskiego strachu:

— „Kajtach był wolny i zawsze wolnemi
Rządził się prawy w niepamiętne czasy;
A ze wszystkiemi wrogami swej ziemi
Prowadził sławne, zwycięzkie zapasy. —
Po całej jego ziemi sterczą szczyty,
Ciemnieją lasy, ciągną się wąwozy,
Gdzie stały jego zwycięzkie obozy,
Albo wróg został na głowę pobity.
A jego męztwo takie było sławne:
Że jak podanie dotąd niesie dawne,
Kiedy Kajtachczyk przez Samur zhukany
Płynąc „Stój!" krzyknął, — stawały bałwany.

Lecz dziś gdy duch twój, ludu! w błędzie drzemie,
Gdy na nim ziemskie tylko cięży brzemię,
Osłabło twoje dzielne, wierne ramię,
I nie dla niego już proroka znamię!

Bo kiedy w każdej naszej ziemi innej,
Wierni krew wszystką w Świętej wojnie leją;
Ty ludu! idąc niewiernych koleją,
Duchem i mieczem zostajesz nieczynny.
Bowiem nad wiarę i nad wiernych czyny,
Nad niebo nawet pomiędzy wiernemi,
Dziś ci milszemi stały się rodziny,
Ściany tych domów, albo kawał ziemi.
Lub gdy u wroga macie dosyć soli
I dla stad waszych u niego pastwiska; (4)
Jego utrata dziś więcej was boli,
A nie widzicie jak plaga już blizka!

Że dotąd do Was niewierny nie idzie,
Sądzicie, że już za temi górami
Wolni jesteście? O! zły duch was mami;
Bo ulegniecie niewoli ohydzie.
Wróg już otoczył was podboje swemi,
I przyjdzie do Was, gdy upatrzy chwilę;
A jakże jego oprzecie się sile
Z niegotowemi duchami waszemi?!

Ale się cieszcie, — bo sól, ziemie owe,
I te pastwiska, do których tak lgniecie,
Wszystko na nowo posiadać będziecie,
Tylko za nowe kajdany wrogowe
I za przekleństwo w tym i tamtym świecie!

Tak już nasiąkło grzechem wasze życie,
Że co niewola nawet nie widzicie:
Bo czem są wasze modły i pacierze,
Czytanie pisma, zmarłym upominki,
Posty, jałmużny wykonane szczerze,
Najlepsze nawet sprawy i uczynki
Sama ofiara do Mekki podróży, –
Gdy dusza wasza niewiernemu służy?
Wszystko przed Boską wolą i mądrością
Jest tylko jedną, życia nieprawością!

Małżeństwa wasze, to nieprawe śluby!
I nieprawemi dzieci z nich zrodzone:
Z plemienia idzie plemię potępione,
Śród jednej ducha i wiary zaguby.

Lecz jeszcze cięższe przyjdzie narzekanie,
Gdy wierny swego nieznajdzie Kościoła;
A gdy naprożno o modlitwę woła,
Wszędzie zatkniety tylko krzyż zastanie.
A jak się ciągną dzisiaj wolne góry,
Jeden grób będzie z tej całej krainy:
W niewiernych będą obrócone syny,
W żony niewiernych obrócone córy.

Pocóż się życie będzie wasze wlekło?

Aby niewolą zniKczemnione łono
Nosiło w sobie duszę potępioną,
Którą na wieki ma pochłonąć piekło?

O wierni, wierni! Zgrzytajcie zębami
W najcięższym żalu i najcięższej skrusze,
Bo potępione wasze grzeszne dusze,
Jedno przekleństwo i kara nad wami!"

To znowu wołał: „Ten wybrany Boży,
Kto zawsze gotów iść walczyć za wiarę,
A w świętej wojnie swém życiem nie drożży,
Gotowy zawsze na wszelką ofiarę;
Taki gdy pójdzie jako Pismo mówi,
Sam Bóg prowadzić będzie jego ramie:
Najsilniejszemu oprze się wrogowi,
Dziesięciu większych od siebie przełamie.

Jeśli zaś legnie śród boju krwawego,
Natenczas dusza jego w niebo wzięta,
Śród raju będzie żyć nieśmiertelnego,
Gdzie roskosz myślą naszą niepojęta!...
Ale kto wierny a uczynków niema,
Ten w piekle pewną nagrodę otrzyma!

Ale o Panie! niech Twa wola zmieni
Z tym ludem, który ma serce z kamieni;

Bo już bezwładną czuję, moja siła!
Albo też dusza przed Panem uboga
Już wszelką jego łaskę utraciła,
Gdy nadaremną ma być moja droga!

O ludu! słuchaj głosu tego Pana
W którego władzy jest i śmierć i życie:
Poddaj się Jemu; próżno sądzisz skrycie,
Bo niewiesz jaka chwila obiecana." (5)

Lud się rozchodzi w różne kraju strony,
A myśli w duchu i modli się: Panie!
To Twoje były słowa i wołanie,
Które nam mówił ten człowiek natchniony.

Radością serce zabiło Imama
Na wieści, które przyszły od Pahii;
Więc znów pomyślał: teraz pora sama
Użyć oręża, ale w ręce czyjéj? –

Czyliż się wybrać takiej ręki nieda,
Gdy wierze służy bohatérów tyle?
Lecz któż godniejszym mógł być nad Achmeda
W takie stanowcze świętej wojny chwile?

Imam to wiedział, i raz rzekł: „Achmedzie!

Lud już Kajtachski ma gotowe dusze;
Lecz kto go teraz do boju powiedzie?"
—„Żądasz? rzekł Achmed,— ja w te góry ruszę".—

I już dnia tego z mężną swoją rotą
Szedł kędy droga do Kajtachu goni,
Z jedynem hasłem i świętą ochotą:
Zwyciężyć, albo zginąć z mieczem w dłoni.

Zbierz dziki wrogu teraz gęste szyki,
I porusz prędzej swe liczne obozy:
Tam trzeba przeciąć drogi i przesmyki,
Tam zająć góry, tam zamknąć wąwozy.
Czatuj na strażach i rozsyłaj szpiegi,
Nastaw w fortecach paszcze groźnych spiży,
Może zatrzymasz tego wilka biegi,
A może zdobycz pod strzały się zbliży.

Lecz jego chytrość dawno doświadczona,
Sidła mu znane, a nieznana postrachu:
W trzy dni od czasu, gdy z wolnych gór łona
Wyszedł z swą rotą; już w górach Kajtachu
Wiały po wioskach wolności znamiona
I zbrojne ludu wzniosły się ramiona.

Achmed z początku bronił znanej drogi,
Którą na Kajtach zwykle ciągną wrogi:
To kryjąc szyki za kamiennym wałem,
Śmiertelnych strzałów wysyłał tysiące;
To obnażywszy kindżały błyszczące;
Spadał z gór nagle potoku nawałem.
I tak piędź każdą najechanej ziemi
Ścieląc trupami wrogów obrzydłemi,
Ostatnią stawił wrogom przejścia tamę,
We wsi Szylachach zatrzasnąwszy bramę.

Już pół krainy od pożogi dymi,
Lecz wieś zamknięta jako skała stoi;
Swe słabe ściany przeciw wrogom zbroi,
A duch ją trzyma wierny i olbrzymi.
Wtenczas wróg hardy w swojej ślepej dumie
Wysyła posłów, obiecuje, straszy,
Raz mówi: kary lękajcie się naszéj,
To, że przebaczać i nagradzać umie.
Wreszcie wylicza wszystkie swoje siły,
Ażeby oręż Szylahi złożyły; —
Lecz wróg nie wiedział, że niczém się nieda
Ducha Pahii zachwiać lub Achmeda —
I te wyrazy otrzymał jedyne:
„Bóg sprawiedliwy prosimy w gościnę". —

Od dnia rozświtu do ciemnej północy,
Pod ogniem z armat, śród walki upornéj,
Wieś nie schyliła wrogom głowy kornéj,
Ani uległa ich tłumów przemocy.
Wreszcie gdy słabe zapory i ściany,
Pod gradem ciosów pożar miotających,
Padły w ruinę rozwalisk dymiących;
Wróg żądzą łupów i mordem zagrzany,
Po własnych ciałach ścieląc dalsze drogi,
Wszystkie ulice zalał wsi ubogiéj.

Wtenczas dom każdy napół rozwalony,
Każdy róg domu, gruzu, ściany kawał,
Obronną twierdzą dla wiernych się stawał,
Przed którą ginął wróg nieprzeliczony.
Wreszcie śród strasznej walki wysilenia,
Kiedy już wierni padali z omdlenia,
Kogo z obrońców nie przygniotły mury,
Z orężem w ręku przedzierał się w góry.

Jeden z tych mężów, gdy już domu ściany,
W których się bronił dotąd niezachwiany,
Zajęły wokół szerokie płomienie,
I już niechybne groziło zniszczenie,
Wyskoczył na dach od dymu zczerniały: (6)
I choć już trupów dzisiaj nastał wiele,

Jeszcze strzałami jakie mu zostały,
Pod swoje stopy niejednego ściele;
Wreszcie pod gradem kul w siebie mierzonych,
Pada w płomieniach śród dymów zgęszczonych.

Drugi na zgliszczach nagle zbrojny staje;
A gdy niewierni z dzikim wrzaskiem biegą,
I tysiąc kolców mierząc w piersi jego
Każą się poddać, – on się nie poddaje;
Lecz oczy podniósł w niebieskie sklepienie,
I nagle gardło kindżałem przecina:
Po jego piersi płyną krwi strumienie,
A duszę wieczna uniosła kraina.
Lecz niema pieśni, coby wieszcza słowy
Wyśpiewać mogła tych rycerzów czyny,
Bo każdy równie umrzeć był gotowy;
O! to prawdziwe były wiary syny!

Dziś, o Szylahi! między twemi ściany
Już nie brzmią wiernych głosy i oręże,
Został się tylko gruz z ziemią zrównany,
A w nim mieszkają padalce i węże.
Kępami bujne, dzikie chwasty rosną,
W nocy rozwodzi puhacz pieśń żałosną,
Lub szakal wyjąc ciągnie szczątki ciała,
Z którego dusza w niebo uleciała.

Gdy zaświtały drugiego dnia brzaski,
Ucichły strzały i bojowe wrzaski.
Nad wioską dymy tylko w niebo biegły,
Między zgliszczami dotlewały trupy,
Niewierni z szczątków dobywali łupy,
Czasem ich dzikie głosy się rozległy.
A był to obraz straszny i ponury,
Wokół głuchemi otoczony góry.

W wiosce już całkiem od wiernych rzuconéj,
Śród palącego się jednego domu,
W izbie trupami, gruzem zawalonej,
Wsparty o kawał od ściany odłomu,
Z tlejącą szatą, cały w krwi i ranach,
Achmed zaledwie chwiał się na kolanach.

Wszystko zrozumiał przez tę ciszę grobu,
Która go dawno zewsząd otaczała;
Pragnął się podnieść, lecz niemiał sposobu,
I postać jego z bólem opadała.
Gdyby niewierni z miejsc tych ustąpili,
Mógłby się powlec, ukryć w bliskie krzaki:
Więc znowu podnieść stara się i sili –
I znów opada w niemocy jednakiéj.

Ale spokojnie patrzy śmierci w oczy:

Drzewo się w ścianach i pułapach pali,
To kawał belki, to gruz się odwali,
Kiedyż on pod te zgliszcza się potoczy?
Lecz co się działo w duszy bohatera,
Gdy jeden z wszystkich dotąd nie umiera?

Przez otwór ściany śród rannego mroku,
Wchodziła jasność czystego obłoku:
On wzrok wytężył ku sklepieniom nieba,
Modląc się: Panie! jeśli w Twym wyroku
Tak mi samotnie umierać potrzeba,
Lub w ręku wrogów me ciało zostanie,
To niech i wtenczas Twa wola się stanie!"

Pierś od boleści nie wydała jęku,
W licach widnieje niezachwiana siła,
Tylko je siność z braku krwi pokryła,
Pistolet jeszcze trzymał w jednym ręku.

W umyśle jego powoli gasnącym,
Wznawia się pamięć walki dotąd trwałej;
A jej obrazy cudem powstawały
Z prawdy pozorem tak zadziwiającym,
Że jak na jawie, nie zaś w wyobraźni,
Widzi i słyszy bitwy najwyraźniej....

Jak widział bojów Akulgińskich dzieje:
Gdy tłumy wrogów jedne za drugiemi
Jak szły na zdobycz tak leżą na ziemi,
A krew ich czarna potokiem się leje.
Jak wierni wioskę rzucając zburzoną,
Jedni wpław płyną, drudzy w rzece toną;
Jak razem z dziećmi kobiety z urwiska
O dno przepaści rozbijają łono,
A krew ich ciepła po skałach rozpryska; -
Jak wreszcie Szamil uniknął pogoni
Z ostatnią garstką towarzyszów broni.(7)

Znowu się dusza upaja widokiem
Zwycięstw skończonych z tym pamiętnym rokiem,
Gdy jak mąż jeden tak kraina cała
Przeciw niewiernym z orężem powstała.
Gdy moc okazał wtenczas Bóg łaskawszy,
Że zniżył dumę bezbożną, zuchwałą,
I świętej zemście zadosyć się stało: (8)
Wierny, krew wrogów do syta przelawszy,
Ich rozbójnicze porozwalał gniazda,
Z których nie uszło ani psa jednego.
O! najświetniejsza błysła wtenczas gwiazda
Nad półksiężycem Proroka świętego!
To znowu widzi jak z wiernych drużyną
W granice wrogów jako piorun wpada!

Liczne go tłumy i ich czaty miną,
On wraca z łupem, pędzi liczne stada;
Po jego drodze w krwi pływają wrogi,
A z ich obozów zostają pożogi.

Jak przemijają zwycięztwa i klęski
I różne z niemi zawody i rany:
To mu się zjawia wiernych duch zwycięzki,
To wyższej mocy wyrok niezbłagany.
Lecz kiedyż koniec tej walki się zbliży?
Ta myśl go ciężko dręczy, niepokoi:
Niby go w koło otaczają swoi,
Niby po górach widzi tysiąc krzyży.
Patrzy na wioskę, gdzie jego Fatyma,
Rodzinne góry i tam jego syny,
Których na nowe błogosławi czyny,
I pierś gorącem westchnieniem się wzdyma.
To jakby widzi, słyszy coś na niebie:
I z pierwszą dotąd nieznaną roskoszą
Jego się myśli po raju unoszą.....

Wtém jakiś okrzyk słyszy koło siebie:
Wnet się lwie serce jego obudziło,
Strzelił - i kula dobrze wymierzona
Jednego wroga położyła z grona,
Które na około już go otoczyło. -

Chciał za rękojeść uchwycić kindżała;
Lecz już go zgraja w swe ręce porwała.

Pośród niewiernych gwarliwego tłoku,
Leżał na ziemi burką przyodziany,
Mając przed sobą w pobliskim widoku
Dymem kurzące Szylahińskie ściany.
Straszliwym ogniem paliły go rany,
Ale ten widok wioski srożej piecze,
A bólem wyższym nad siły człowiecze;
Bo gdy w te ściany utkwił błędne oczy,
To łza po jego licach się potoczy.

O! łza to była pierwsza i ostatnia:
I gdyby dusza widziała ją bratnia
I to uczuła, co ta łza mieściła
Cierpień, goryczy, miłości ojczyzny,
I zawiedzionych nadziei trucizny,
Pewnie nadziemska moc by w nią wstąpiła
I takaż czynów olbrzymich potęga,
Z jaką bohatér tą łzą nieba sięga.
Lecz w którą duszę ta łza nie przeciekła,
Dla niej na wieki zgotowane piekła!..

Achmed spojrzawszy na ciekawe tłumy,

Widział po twarzach tryumf, urąganie;
Inaczej niebył odpowiedzieć w stanie,
Jak rzucić wzrokiem pogardy i dumy.
Potem gdy uczuł, że już jego droga
Kończy się wkrótce, – wzrok utopił w niebie;
A potém go dotknie jakaś ręka wroga
Wiążąc mu rany, więc znów w około siebie
Z lekkim po tłumie spogląda uśmiéchem,
Nad ciężkim wrogów litując się grzéchem,
Że mu dla tego opatrują rany,
Aby zachować jego ciału życie; –
Bo im to ciało odsłuży sowicie
Na tryumf z dziką zemstą spodziewany.

Wróg go zapytał: „Dla czegożeś zaraz
„Niechciał się poddać za dar przebaczenia,
„Które w dniu pierwszym postaliśmy dla was?"
Wymówił wtenczas cichym, pewnym głosem:
– „Najwyższej woli moc ludzka nie zmienia;
„I gdyby tysiąc razy więcej na nas
„Sił waszych przyszło, by zgnieść jednym ciosem,
„Mybyśmy również to samo zrobili
„I również wszyscy umrzeć potrafili.
„Niech każdy idzie swych przeznaczeń losem!"

Pytano znowu z bezbożnemi drwiny: .

„ Jednakże z twojej to jedynie winy
„ Poległo tylu, Szyłaki runęły,
„ I wsie zniszczone w połowie krainy?"
Usta widocznie mocniej mu się ścięły,
I pośród chwili wewnętrznej katuszy,
Jakieś przekleństwa czy groźby miał w duszy;
Jednak po krótkiej z własnym duchem wojnie,
Wymówił jeszcze: „ Kończę życia troski
„ I bądźcie pewni, umieram spokojnie;
„ A was niewiernych skarze palec Boski!" –

Wtenczas ostatnią wiązano mu ranę:
Jego się łono cichym jękiem wzniosło,
Wokoło podniósł spojrzenie zbłąkane,
Które wraz z duchem w głębi niebios wrosło.
Uśmiechem pokrył usta posiniałe,
Lubego szmeru rajskich gajów słucha,
Raz westchnął jeszcze – i wyzionął ducha.

Zadrżały wrogów dusze zatwardziałe: –
Od tych zwłok świętych ręce ich odpadły,
A lica strachem i zdziwieniem zbladły.

—————— . ——————

Oh! Niebo śmiechu z płaczu, góry pękną z bólu,
Zatrzęsie się w wnętrznościach swoich ziemia cała,

O Boże Wszechmogący! nieba, ziemi Królu!
Czyż taka dola wiernym wiecznie pozostała?

Niewierni wieś zburzywszy, Kajtach opuścili:
Nad zgliszczami Szylahów ludność się zebrała
Pozostałych mieszkańców, którzy do tej chwili
Po kryjówkach skał, urwisk i po lasach żyli.

O Panie Wszechmogący! Nieba, ziemi Królu!
Niebo smutne od płaczu, góry pękną z bólu,
Zatrzęsie się w wnętrznościach swoich ziemia cała,
Czyż taka dola wiernym wiecznie pozostała?..

Kobiety jednym płaczem zawodzą pod nieba:
Niema ojców ni mężów, i życia nie trzeba;
Rwą szaty, rozdzierają swe włosy i twarze,
A dzieci im z bezwładnych wypadają ręku,
Starcy dłonie podnoszą w rospaczy nadmiarze;
Strasznie było śród tego płakania i jęku.

Wtém Święty wieszcz Jahija staje między niemi,
W szatach krwią splamionych, z strzępy spalonemi;
Duch czy ciało? Bo z jego wybladłego lica
Tylko jakaś nadziemska, wyższa moc przyświeca.

Zawołał: „Biedny ludu! ty narzekać umiesz,

„ Lecz ty plagą dotknięty, jeszcze nie rozumiesz,
„ Że to nie jest ostatnia dla wiernych zaguba,
„ Tylko na Was zesłana Wszechmocnego próba.
„ Jeśli Bóg Wam nie szczęścił naciesz zwycięztwem,
„ To dla tego, że waszych serc, duchów zmiękczałych
„ Nie zagrzaliście wiarą, ani czystem męztwem;
„ A Jemu duchów wiernych i serc trzeba całych.
„ Lecz jeszcze się nietrwóżcie, a módlcie się szczerze,
„ Nawracajcie do skruchy, porzucajcie grzechy:
„ Pan zostawia niewiernych tylko bez pociechy,
„ A wierny zawsze łaskę od niego odbierze.

„ I teraz wasze miecze Bóg pobłogosławił:
„ Bo choć gruzy z Szylahów, po kraju pożoga,
„ Ale ileż niewierny swojej krwi zostawił?
„ Patrzcie na tę dolinę i jak długa droga,
„ Którędy wiódł swe szyki i tabory duże,
„ I na te w gruzach teraz dymiące się ściany,
„ Jak każdy kamień krwią tą nieczystą zwalany,
„ I jakie od niej czernią plugawe kałuże.
„ A gdzież te groźby jego i kar obietnice?
„ Oto w nagłej ucieczce od pogoni strachu,
„ Już w tej chwili opuszcza granice Kajfachu.
„ O! zakryte przed wami Boskich dróg tajnice.
„ Bóg do czasu pobłaża ludzkiej złości wszelkiej,
„ Aż wskaże straszny koniec jego palec wielki.

Ale módlcie się! wkrótce między Wami stanę."

I zniknął w cieniach lasu, i niememi dreszcze
Obawy i nadziei wstrząsł dusze znękane,
I dotąd się nie zjawił między ludem jeszcze;
Lecz lud czeka i wierzy w jego słowa wieszcze.

Koniec.

Przypiski do tekstu
(pieśni drugiej)

1. Przewódcy wojny świętej. Według muzułmanów prawda jest tylko w Koranie, a więc mąż prawdziwy, wódz prawdziwy, oznaczają ludzi wypełniających Koran.

2. Według duchownych muzułmańskich Koran składają trzy główne części: 1a Szariat, obejmujący prawa i przepisy dotyczące ziemskich i społecznych potrzeb; 2a Tarichat, nauka doskonalenia się moralnego; 3a Chakikat, za pomocą którego człowiek wyzwoliwszy się od wszelkich cielesnych związków, dochodzi do najwyższej doskonałości i nabywa władzy rozmawiania z samym Bogiem. - Zasadą miurydyzmu jest Szariat i Tarichat, gdyż Chakikat zostawiony tylko wybranym. Szariat obowiązuje każdego muzułmanina, lecz aby dojść do stopnia Tarichatu czyli prawdziwego miurydyzmu, trzeba przejść całą jego naukę. Mędrzec, który jej doskonałość osiągnął, nazywa się miurszyd, a ci którzy pragną tej nauki i słuchają miurszyda, nazywają się miurydami. - Środkami doskonalenia się są: modlitwy, pokuty, posty, jałmużny, pozbywanie się wszelkich grzechów i oddanie się tylko Bogu. Ostatecznym skutkiem tej nauki na Kaukazie była wojna Święta.

3. Kajtach, prowincya w środkowym Dagestanie

będąca wówczas pod władzą Rossyi. – W roku 1852^{im} Szamil wysłał tam Jahiję dla zrobienia powstania.

4. Kajtach nie posiadając soli, sprowadzał ją ze słonych jezior nad brzegami morza Kaspijskiego, znajdujących się pośród prowincyi zawojowanych. W wielu zaś miejscowościach Dagestanu, mieszkańcy gór posiadają pastwiska w innych, nieraz dalekich okolicach bliżej morza położonych, gdzie na zimę spędzają swoje stada; a właśnie Kajtach był w takiem położeniu.

5. Mowa Jahii, wytykająca błędy muzułmanów, zostających pod panowaniem niewiernych i zachęcająca do powstania przeciwko nim z orężem, jest ściśle oparta na zasadach Koranu i miurydyzmu.

6. Dachy w Dagestanie, jak prawie na całym wschodzie są płaskie. –

7. Działo się to przy wzięciu Ahulgo, wsi ufortyfikowanej i bronionej przez Szamila w r. 1839.

8. Rok 1843 ogólnego powstania w całym Dagestanie i najświetniejszej epoki panowania Szamila. –

Do braci

Dziś tak od was daleki – i tylko w rozmowie
Wspólnych myśli bywając z wami bracia moi!
Przesyłam wam te pieśni w napisaném słowie,
Gdzie cząstka mego ducha jako żywa stoi.

Kiedyś jeszcze w tym świecie może się ujrzémy,
A w lepszych od dzisiejszych czasach i kolejach,
Natenczas innych pieśni zaśpiewamy rymy,
Bo przy spełnionych naszych myślach i nadziejach.

Tymczasem, gdy nas gniotą ciężkie wrogów pęta,
Wierzę, że prace ducha nie zginą daremnie:
I co dziś wyrobimy mocno i tajemnie,
Znajdzie ludzkość i nasza droga matka święta.

Mój pokoik

Jak pośród mego nowego więzienia,
Które na świecie Kaukazem się zowie,
Moja siedziba smutną jest z wejrzenia,
To żaden język tego nie wypowie.
Na żwirowatém, nagiém wzgórzu siedzi,
Patrząc na pustą wokoło krainę,
U stóp ma suchą i martwą dolinę,
Po której strumyk skąpe wody cedzi.
Cały widnokręg kryją niskie góry,
Z których zachodnie są pokryte lasem;
Wreszcie jednakiej, jałowej natury,
Między wschodniemi morze błyśnie czasem.
Gdy słońce pali przez miesiące letnie,
Arabskich pustyń zieje w koło susza,
A gdy śnieg spadnie, lub mróz ziemię zetnie,
To znów Syberyi omartwiała głusza.
Kiedy na wiosnę dobre słońce chodzi
I pragnie darzyć światłem i te strony,
Wtenczas deszcz leje, albo mgła zachodzi,
I znowu widok ziemi zasmucony.
Jedno wytchnienie mam tylko w jesieni,
Kiedy powietrze łagodne i lżejsze,

Wiater nie dusi, niebo jest chłodniejsze,
A las się złotem i purpurą mieni.
I wtenczas tylko żyć tu mogę znośnie,
A szczęściem, dosyć wypoczynek długi;
Gdybym bez niego miał przeżyć rok drugi,
Mógłbym nie ujrzeć słońca w przyszłej wiośnie.
Jak naga ziemia, tak odarte domy:
Płaskie, jednakie, barwy szarej gliny,
Kryte strzechami z sitowia lub trzciny,
Stoją rzędami jakby stérty słomy.
A ludzie!... ludzie? tu są jacyś inni,
Nie wiem, zwierzęta czyli jakieś głazy;
Boże! a przecież to Twoje obrazy!
Przez niewiadomość oni są niewinni.
I moje całe przebacza im serce,
A nawet o nich nie tracę nadziei,
Bo wierzę ducha ludzkiego iskierce,
Że błyśnie światłem śród życia kolei.
Lecz przebacz Panie! – żyć z niémi nie mogę:
I chociaż nigdy na nich nie narzekam,
Lecz abym kochał, ja od nich uciekam,
Bo tak nie jedną mamy dzisiaj drogę!
Tak więc śród ludzi, sam jeden być muszę:
Lecz mam tu kącik, maleńki pokoik,
W nim trochę książek, łóżko, ławka, stolik;
O więcej bogactw wcale się nie kuszę.

Tum ja wesoły, szczęśliwy, samotny,
Świat ludzi dla mnie, moja biblioteka;
Ztąd niczem przestrzeń choćby jak daleka,
Nad wszystkie światy wzlata duch mój lotny.
Ztąd dla mnie niebo czystszém się wydaje,
Tu i najczystsze są moje natchnienia,
Tu życia wszystkie przechodzę cierpienia,
I znowu lecę w napowietrzne kraje.
Tu nieskończone przyszłości koleje
Przechodzę myślą i jej pulsa liczę,
I tu jej drogie i święte oblicze
Najjaśniej w duszy mojej promienieje.
Tu dla niej walczę z współbracmi wszystkiemi,
Gdzie tylko łzy ich od cierpień się leją,
I gdzie niedola gniecie ich na ziemi,
I gdzie się jedną pojmujem nadzieją.
Tu razem z niemi, jakby w jednem kole,
Walczym za jedną myśl niezwyciężoną,
Której dziś słowa nieśmiertelne płoną
Na wszystkich ludów uroczystém czole:
Że przyjdzie szczęście za prawdy zdobyciem,
Ludzie się jedną połączą miłością,
Wzruszona ziemia wstanie nowém życiem,
I co dziś myślą, stanie się bytnością.
I w tej mi chwili nagle się zdawało
Że pokoiku zatrzęsły się ściany;

A to tej myśli obraz ukochany
Tak mocno wzruszył moją duszę całą.
Bo takie tutaj dla mnie walki końce,
I takie wszystkie mej duszy wzruszenia!...
Lecz Bóg się patrząc w ich czyste natchnienia,
Może je przyjmie w łono kochające.
A gdy się prawdzie, choć w cząstce przyczynię,
Nie dbam o losy, jakie mnie spotkały:
Niech śmierć nadejdzie i w ten kącik mały,
I ztąd w wieczności duch mój nie zaginie. –

Samotność i Pieśń.

Odejdźcie błagam, idźcie mówię wam!
Chcę chwilę być sam, na Boga sam!
Boście całą mą duszę zatruli głęboko,
I całe moje serce lodem obłożyli,
Wszystkieście czucia ze mnie, myśl, życie wypili,
Ma dusza martwa, martwe patrzy w niebo oko!
A ja pomiędzy wami potrzebuję siły:
Ja z nieba potrzebuję siły i natchnienia!
Ażeby moje skrzydła do nieba się wzbiły;
A samotność jest dla mnie tą siłą leczenia.

Mnie zadusi to wasze życie strupieszałe:

To życie bez przyszłości, marnych form zwyczajnych,
W któreście zacisnęli biedne serca małe,
I mały krążek myśli dziwnie jednostajnych.
A trzeba myśli, myśli, coby z łona nieba
Zstąpiła tu na ziemię i kwitnęła życiem;
Bez niej życie jest tylko jednem długiem gniciem,
I głodem okropniejszym niżli głód bez chleba.

Tak głęboko jesteście w nicość pogrążeni
I tak do prochu ziemi przylgnęliście cali,
Żeście wzrok nieśmiertelnej duszy postradali
I już nie odróżniacie swiatłości od cieni.
I już nie pojmujecie wielkości niedoli,
Która was coraz głębiej w noc mogiły gniecie;
Lecz czy niema już dla was zbawienia na świecie?
I z tej nocy już żadna myśl was nie wyzwoli?

Oto patrzajcie! jasność na swiat się rozlewa,
I wszędzie z jej promieni nowe życie wschodzi,
Kwiatem jednej miłości ziemia się odziewa,
A z niego pewny owoc szczęścia się urodzi.
Tylko chwili natchnienia, jednej chwili woli!
Lecz szczerej, nieśmiertelnej, z łona Boga wziętej;
A spełni się godzina tej nadziei świętej,
I życiem powstaniecie na bieg innej doli.

O! jakże pragnę śpiewać, jak mi śpiewać miło!

Chciałbym w dusze mych braci przelać własną duszę;
Może myśli ich zbudzę, twarde serca skruszę,
By choć najmniejsze z marzeń się ziściło.

Może choćby najmniejszą miłości kropelkę
Wpuszczę temi słowami w żywe serce czyje,
I to serce dla prawdy gdy chwilkę zabije,
Kto wie jakie powstaną wtenczas czyny wielkie

I może pojmą ludzie, że doczesność niczem,
Pojmą głos ten, co w duszy nigdy nie ucicha,
A przemawia językiem Boga tajemniczym,
Że jedynie przyszłością ten żywot oddycha.

Spokój

O jak me serce dzisiaj czyste i spokojne,
Jak przy jasnych niebiosach poranna pogoda!
Po męczarniach boleści niebiańska osłoda
Zaciszyła w mych piersiach wszelką uczuć wojnę.
Tylko biją uczucia jak dzwony niedzielne,
Kiedy lud ukorzony przed podnoże tronu
Swego Ojca wiecznego, składa cześć pokłonu
I w ofierze Mu niesie swe trudy śmiertelne.

I tak mi rzewnie, cicho, jak śród tego ludu,
Gdy się z całą prostotą wymodli, wypłacze,
A serce mu niewinne od radości skacze,
Bo zapomniał o bólu, znów idzie do trudu.

I te dzwony swój rozgłos leją w okolicę,
Przejmując wszystkie serca spokoju pociechą,
I pod każdą utrapień i zgryzoty strzechą
Zostawiając nadziei pewne obietnice.
I wszystko w tych uczuciach tak szczęśnie i błogo,
Jak w sercu zbłąkanego śród lasu dziecięcia,
Kiedy ujrzy przed sobą matczyne objęcia
I ku progom rodzinnym idzie znaną drogą.
Przeminęły cierpienia i śród burzy praca,
Czuję całej przyszłości spokojne natchnienie,
I dusza skołatana do portu powraca
Znajdując upragnione dawno orzeźwienie.
Są jeszcze wypalone od boleści rany,
I różne ciężkie ślady co zrobiły burze,
Lecz przecież i w tej całej odwiecznej naturze
Biją gromy, niejeden dąb jest zgruchotany.

Lecz i to się uciszy, rozjaśni, zabliźni,
I ciernie krwią zlewane ofiary i bólu
Zakwitną jako róże na tém krwawem polu,
I świat szczęściem odżyje śród miłości bliźniej.

Więc pocóż bać się wszelkich i cierpień i trudów;
Gdy bez tej ducha wielkiej, tajemnej zdobyczy,
Nie ma ani zbawienia, ni przyszłości cudów,
Ani żadnej na ziemi prawdziwej słodyczy.
Raczej jeśli ma błysnąć jasność tego słońca,
Niechże duch nie ulega zwątpienia ciemności,
A niech walką się wznosi z samej maleńkości
I rośnie w moc nadziemską aż do świata końca.

Ararat

Gdzie jestem?.. z jakiej jestem przygnany tu strony?
Gdzie mnie zaniósł duch wiecznie wrzący i spragniony?
Czyli idąc po drodze prawdziwej i świętej,
Czy przez ludzi i Boga samego przeklętej?
Czyliż i na tym szczycie pod niebios sklepieniem
Ma być dusza rozdarta tem strasznem zwątpieniem?
O! jakże bym utonął całą duszą w niebie!
O! wiem Panie, jest siła, ... modlitwa do Ciebie!...
(po chwili modlitwy)
Na tej górze, pod temi samemi niebiosy
Stał kiedyś mąż jedyny, od Boga postany;
U nóg jego szalała niezmierzona fala,
Którą spuścił na ziemię gniew nieubłagany,

Z głębi fal wychodziły zatracenia głosy,
Mieszając się z wichrami huczącemi zdala.
Była ciemność bez końca - i cała przyroda
Zmieniła się na ciemność, w niej niebo i woda. -

Wtem fale zabłysnęły, wznoszące się słońce
Przedarło się promieńmi, - widnokręgu końce
Od wód się oddzieliły przez krwawe szczeliny,
A naprzeciw, gdzie wisiał strop czarny i siny,
Podniosła tęcza swoje siedmiobarwne koło.

Na to z niebios zesłane pokoju przymierze
Posłaniec w niebo podniósł rozjaśnione czoło,
I stanął przy dziękczynnej i pierwszej ofierze,
I o Panie! gorące usta wymawiały,
Ja Cię święcę i wielbię; lecz ja człowiek mały! -
Wtem gołąbka powraca, niosąc życia znaki,
I swemi skrzydełkami trzepocze radośnie:
O! jakże duch człowieka wierzącego rośnie,
O! i w jakiej wdzięczności i w radości jakiej!

Nieśmiertelnem stworzeniem jest twój człowiek Boże!..
Choć się zdaje niby niczem,
Tylko jakimś prochem marnym
Pysznięcym się obrazu Twojego obliczem;

Naśladowcą Twej wiecznej mądrości niezdarnym,
Pragnącym dzieła swoje z twemi zrównać śmiele,
I niby spełniającym twoje wielkie cele,
Takim słabym, a zawsze wierzącym w swe moce,
I biednym swym umysłem błądzącym w pomroce;
Niby tworzącym nowe, podsłoneczne światy,
A nie mogąc się własnej uchronić zatraty,
Coraz nowe upadku przechodzi koleje,
A ciągle się nowemi łudzący nadzieje;....
Nieśmiertelnym i wielkim na ziemi i niebie,
Gdy duchem się do łona Twego podnieść może
I tym duchem uwierzy, a uwierzy w Ciebie!...

Tej wiary nieśmiertelnej hym przejęty drżeniem;
Lecz wy biedni bez wiary, czy to pojmujecie?
Wy bez głosu od Boga żyjący na świecie,
Z ciążącém na was za to wiecznem potępieniem!

I ten człowiek naówczas, przed laty tysiącem,
Tymże głosem was dźwigał, tymż duchem wierzącym,
Aleście nie słuchali i w swych zbrodniach ległi,
Czyście także i dzisiaj Boga zapomnieli?..

O! istoty nieszczęsne, martwe, bezrozumne!
Swem złotem obłożone, tonące w zgniliźnie,
Mniemacie, że wam życie łatwo się prześliźnie;

A tymczasem padniecie w wieczną zguby trumnę.
Żyjecie na padole, tylko myśląc o tém
Jak jutro przeżyć tymże bezmyślnym kłopotem,
Wam się wszystko wydaje: płynie mlekiem, miodem,
Na wszystko się wasz umysł zcieleśniony sili,
A o jednejście tylko zapomnieli chwili,
Że zginiecie sytości i bogactwa głodem!...

A więc wszystkie te ludy, które Ojca okiem
I sercem obejmujesz na przyszłości cele,
Dotkniesz swoim niezłomnym i świętym wyrokiem,
A mają inne powstać w Twym świętym Kościele?!..
Jeżeli nie masz na to już innego cudu,
Aby zbawić stworzenie od reszty zbluźnienia,
O! Panie, błagam: przeklnij plemię tego ludu,
Niech ginie; potem wyrzecz słowo odrodzenia!..

A ja, czém jestem Panie? Czy ta moja mowa
Godną ciebie? Czym godny wymówienia słowa?
Czy nie bluźnię naprożno i Tobie i życiu?
Czy choć jedna Twa iskra jest w mych słów uwiciu?
Czy Tobie miłe wszystkie te moje ofiary,
Którem pełnił dotychczas w imieniu Twej wiary?
Patrzysz w me wszystkie czucia: więc czy Cię obrażę

Gdy jeszcze cielesnemi ustami wyrażę
To ostatnie, pokorne, najwyższe wołanie:
Czy w tę straszną ciemnego potopu godzinę
Dasz zbudować mi arkę, i z temi wypłynę
Których nie ma dosięgnąć Twoje ukaranie?
Czyli razem z innemi w przekleństwie zaginę?...

Wyrzeknij, jeślim godny, O! wszechmocny Panie:
Zstępujęż znów do tego pośród nich padołu,
Z tego szczytu, do życia męki i mozołu,
Wyrzeknij!.. Ale niech się Twoja wola stanie. –

Wieczna tęsknota

Czy to jest życiem? Czemuż śród roskoszy
Najczystszych uczuć i duszy natchnienia,
Gdy ich nawet cichego spokoju nie płoszy
Żadna myśl ziemska; jednak bez wytchnienia
Jakiś głos w ducha niezbadanej głębi,
Z nieopisaną mocą i tęsknotą
Wciąż się odzywa i wciąż pyta o to:
Czy to jest życie? – I nic nie wyziębi
W żadnej godzinie tego głosu z ducha:

Czasem jak cichy szmer wiatru się zdaje,
To burzą huczy, to gromem wybucha,
A zawsze jedno wołać nie przestaje:
Czy to jest życie, i czy jest prawdziwe?

Miłość?.. to czucie wrzące i tęskliwe,
Ten cud młodości pierwszego rozwicia,
Ja znałem: ja kochałem na ziemi dziewicę,
Która z nieba zstąpiła, - i przez tajemnicę
Tego cudu zstąpienia, przez serc wspólne bicia,
Ja w jej oczach, w uśmiechu, w jej przeczystej skroni,
W powiewie od jej włosów, Ach! w dotknięciu dłoni,
W dźwięku słów jej, w jej każdym bynajlżejszym geście,
W najcichszém jej stąpieniu, w jej szaty szeleście,
Widziałem swego życia nieśmiertelność całą,
Razem z wszelką mądrością, potęgą i chwałą.

Tak żyliśmy oboje: i dziś choć w marzeniu,
Choć może tylko w błędném tych chwil przypomnieniu,
A jednak żyję niemi, bo i przeszłość życie;
Ale czemuż los inny pociągnął mnie skrycie?
Czemu raz w nieśmiertelność wlawszy duszę całą,
Nie mogłem tą roskoszą żyć przez wszystkie wieki?
A jakiś niewyraźny, błędny cel daleki
Stanął przed myślą moją.... i to mnie porwało?!...

I biegłem za najinniejszém każdej myśli cieniem:
I jak wtenczas kochałem, tak dziś z myślą zrosłem,
A pędzony tą nową, palącą potrzebą,
By jéj celu dosięgnąć lotem ducha wzniosłem,
Nie straszyłem się żadném z siebie poświęceniem,
Groziłem samym piekłom, poruszałem niebo.
I pośród téj olbrzymiej i straszliwej burzy,
Co się tylko wylało mych myśli potokiem,
Pragnąłem, niech się zaraz mém życiem powtórzy
I niech się zaraz spełni z mym najpierwszym krokiem.
I wywalczyłem duchem pierwsze w świat wstąpienie;
Lecz świat rzucił się na mnie, bo zląkł się w swej pysze,
Że jakiś ognik myśli truje jego cisze
I grozi zapaleniem jego czczej budowy,
Więc zatrząsł się od złości i rzekł: potępienie!
A dla mnie się widnokrąg życia odkrył nowy.

Poznałem tajnie walki w przyszłości na ziemi,
Głębiej wniknąłem duchem w odwieczne koleje,
I poznałem, że przeszłość ma te same dzieje:
Zdobycia sobie szczęścia siłami wszystkiemi.
I zaraz całą wolą szczęścia zapragnąłem;
A gdy razem z tą żądzą zarówno pojąłem,
Że czyn da szczęście światu, że życie jest w czynie,
I tylko taką mocą w nieśmiertelność płynie, —

Więc jak wtenczas w miłości nadziemskim płomieniu,
W naszém wspólném serc biciu, w jéj jedném spojrzeniu
A potem z tymże samym trawiącym zapałem,
Za celem myśli mojéj, zdobyczą prawd gnałem,
I to było mi światem, mądrość, chwała społem,
Tak teraz w przyszłość czynów uderzyłem czołem!....

Przyjaźń, bratnie uściski i z moją rodziną
Całej ludzkości tajne duchowe obszary,
To, życia mego jedną stało się dziedziną,
Któréj składać pragnąłem me nowe ofiary.
Z naszych bratnich uścisków wytryskały słońca
I nowe światy żywe, jako w chwili Słowa,
Kiedy ziemia wstawała do życia gotowa,
Odwiecznym czynem woli twórczej jaśniejąca.

I chciałem zbawić ludzkość: i byłem gotowym
Umrzeć, żeby tą śmiercią dać dalszej godzinie
Życie, stać się promykiem dla przyszłości nowym,
I tę śmierć mą ofiarną poświęcić rodzinie.-
I widziałeś natenczas miłosierny Panie!
Jak mój duch już przebywał w Twéj wiecznej Krainie,
I jak byłem szczęśliwy; a jak zapłakałem
Całą boleścią duszy, kiedyś swojem słowem
Rozkazał mi inaczéj, i znów na walk trwanie

Skazałeś dalsze życie i na nową biedę —
I z jaką ja pokorą Ciebie wysłuchałem.

Powiedz przynajmniej teraz, czyli dobrze idę?...
I powiedz, gdybym kiedyś przez siły mi dane
Zbawił wszystko i wszystko uszczęśliwił wiecznie
Co tylko mi najwięcej drogie i kochane,
Czyli pieśnią nad wszystkich dotychczas pieśniarzy,
O jakiej jeszcze dzisiaj żaden duch nie marzy,
Czyli czynem na ziemi, którym się uwiecznię,
I gdybym się mógł patrzeć na swe własne dzieło
I tak się niém radować, jak Ty swemi światy,
Czy i wtenczas do Ciebie cośby mnie ciągnęło,
I tęsknotą do Ciebie rwał się duch skrzydlaty?...

I znowu głos ten słyszę tentnami wszystkiemi:
Że w niebie odpoczynek, a nigdy na ziemi! —

Po co te pieśni?

Po co te pieśni? czego się lejecie?
Lepiej się w duszy schowajcie głębinie.
Co wam tu robić na tym smutnym świecie,
W odartej z duchów bezludnej krainie?
W tym bez miłości lodowym przestworze,
O tej szyderstwa nieszczęśliwej porze?

Czyliż dojdziecie choć do tego świata
Gdzie was jak siostry przyjmie grono braci?
Raczej was czeka na wieki zatrata
I nic wam trudów i bólów nie spłaci.

Tak, po co pieśni? Wasze stróny skruszę!
Czyli nie dosyć, że je Pan Bóg słyszy?
I w tej uroczej, tajemniczej ciszy
Moją ku Niemu unosicie duszę?

Więzień

Scena fantastyczna

r: 1839.

(Więzienie za kratami, w niém młodzieniec w kajdanach.)

Więzień

Ach! życia, życia, życia mi potrzeba:
Ja się w tym grobie zaduszę,
Ja tu zabiję, zatracę duszę,
Ach! życia, bardziej niż samego Nieba!
Już tyle wieków, lat tyle,
Ten grób jest mojem mieszkaniem:
Męczę go próżnem wołaniem,
I w tej męczarni płyną wszystkie chwile.

Czemuż te wrzące w mych piersiach wulkany
Nie rozburzą i nie zwalą
Mego ciała ciasnych granic?
A wiecznie ciężą te twarde kajdany,
I jak głazem, zimną stalą,
Gniotą mnie te ciemne ściany
I me wszystkie próby na nic!

Już tu przeszedłem wszystkie koleje
Cierpień, i wszystkich boleści męczarnie:
A ileż razy, kiedy zamiast chleba
Łzy połykałem, w czystych uniesieniach,
Po myśli, czucia promieniach,
Lekki, wolny, jak bez ciała,
Moja dusza dotykała
Samego Nieba!....
Potem znowu spadam marnie,
Grób jak ziębił tak znów ziębi,
I w duchowej mojej głębi
Takie same zimno czuję,
I jak głazu, lodu kawał,
Dechem śmierci wegetuję!....
Czy stąd nikt już nie powstawał?...

Nie! widać nie mam dosyć woli ducha;
A bez woli nie ma siły,
Której nędzne ciało słucha!
I niepodobna aby się ziściły
I najognistsze marzenia
Bez silnego, strasznego chcenia.

Tak tej woli tylko trzeba;
A więc chcę, by tak się stało!

Niech czy piekła, albo nieba
Swemi moce wstrząsną ciało,
I to straszne we mnie chcenie
Niechaj obrócą w istnienie!

(wstrząsa kajdanami)

Co, brzęk tylko? Co to znaczy?
I ten głos przeciągły, głuchy?..
Jakie wstają tutaj duchy,
Żeby szydzić z mej rospaczy?
O! prawdziwiem obłąkany!
Ja za jednem chcę wstrząśnieniem
Zerwać na sobie kajdany,
Ciążące wieków brzemieniem!...

Nie! aby takie więzy się skruszyły,
Innej trzeba użyć siły:
Trzeba rozumu, nie zaś samej woli.
Przy bezrozumnym tylko sił zapędzie
I z najlepszego dzieła nic nie będzie.
Działajmy mądrze, z rozwagą, powoli...

(Oczy jego robią się obłąkane, usta pokrywają się gorzkim uśmiechem)

Kiedym te ciemne mijał korytarze,
Zda się, żem widział tam człowiecze twarze:
Tak, tam są ludzie, czy postacie ludzi;

Lecz w nich toż samo serce i ta dusza,
Która tym samym głosem się porusza,
Tą samą iskrą do życia się budzi.
I co jest dla mnie prawdą niewzruszoną,
Tąż samą zabić może i ich łono.
Przecież te same mają czucia, myśli,
Boż jedna ducha ludzkiego osnowa,
Z jednegoż źródła myśmy wszyscy wyszli,
Z jednego ognia, prawdy, tchnienia, słowa!...

Tak, już rozumiem, potrzeba mi słowa!
A choćby niewiem jak długo-wiekowa
I jakąkolwiek trwałością zaklęta
Przemoc olbrzyma trzymała mnie w dłoni,
To przed mém słowem nic jej nie obroni,
Pękną te pęta!

(Bije o drzwi kajdanami. Po chwili drzwi otwierają się z trzaskiem i wchodzi żołnierz)

Żołnierz

Co?...

Więzień

Wszakżeś człowiek, masz ludzkie oblicze,
Zapewne serce i człowieczą duszę?
Mów, chcę to wiedzieć, i to wiedzieć muszę!
Coś tak wytrzeszczył oczy tajemnicze?

(Żołnierz chce wyjść, lecz więzień zatrzymuje go łagodnie za ramiona)

Słuchaj, przemówię do ciebie teraz,
Jak mawiali ojciec, matka,
Coby ci dali swojej krwi ostatka,
Dla twojego szczęścia nieraz.
Wszak masz rodziców? i matkę i ojca?
Ciebież matka podobnie jak i mnie powiła,
I tuląc na swém łonie piersią wykarmiła?
W tobież czucia te same i taż krew gorąca?
Z matki, z ojca, z krwi, z duszy, my więc bracia sobie?
I umysłem i sercem ty pojmować umiesz?
Tylko mnie w jedném słuchaj, moja prośba cała:
Radź się tego, co matka twa w duszę ci wlała,
A jak Bóg żywy, wiem, że mnie zrozumieszo,
Że ja to mówię z miłości ku tobie.
Przecież ty wierzysz także w Pana Boga?
(<u>żołnierz się żegna</u>)
A widzisz, widzisz, moja duszo droga!
Ty masz tę wiarę w swoich piersiach przecie:
Każda istota na stworzonym świecie,
Która z sobą przyniosła podobieństwo Boże,
Przyniosła na świat i to boskie tchnienie,
Wszak temiż wyrazami matka cię uczyła,
Ten duch, ogień, czy iskra, nieśmiertelna siła,
Bóg, wiara, albo czekaj, jaśniej ci wyłożę:
Wszak i w tobie jest dusza, w niej boskie sumienie!

Więc jeśli w tobie mieszka matka, Bóg,
Nie ze szczętem twe piersi przygniótł świata wróg,
Jakże ci serce nie krwawi, nie pęka,
Dusza siłami nie rwie się wszystkiemi,
Kiedy zamiast śród ludzi miłości na ziemi,
Jedne łzy, i niewoli najstraszniejsza męka?
I co w twym bracie boskie, nieśmiertelne,
Najczystsze myśli, najczystsze uczucia,
Mordują na śmierć, lub gniotą w okucia
I zawsze rządzą przemoce piekielne?
Wszak i Chrystusa znasz śmierć, krew i rany,
I wiesz dla czego był ukrzyżowany?
Więc jeśli widzisz mękę swego brata,
Czyliż nie czujesz takiej samej męki?
I gdybyś widział pastwienie się kata,
Krwawych narzędzi nie wyrwiesz mu z ręki?
Cóż stoisz nieruchomy jakby jaki słup?...

Żołnierz (z wytrzeszczonemi oczyma)

Nic nie wiem, nie rozumiem co pan powiedziałeś,
I wszystko mi się zdaje, że pan oszalałeś.

(wychodzi)

Więzień

Boże! to człowiek? to drewno, ten trup?
O! czyż na świecie jest jeszcze Bóg?
Czy raczej świat zagarnął nieba ciemny wróg?

Bo dla czegóż, co tylko dąży ku niebiosom,
Co tylko wierne boskim, nieśmiertelnym głosom
I za niemi przez męki i ofiary idzie,
Jest na świecie w pogardzie, niewoli, ohydzie,
I wszystko na zagubę wieczną potępione;
A co tylko ciemnością, prochem, gniciem, błotem,
Bez czucia i bez myśli, głazem, martwém drewnem
To bez znoju i ofiar żyje szczęściem pewném,
Obfitości, bogactwa otoczone złotem,
I wszechwładnej potęgi dziedziczy koronę?
Nieśmiertelność? gdzież ona? wszak tam gdzie jest Bóg,
A jeśli Boga nie ma, tylko ciemny wróg,
Więc to mara, to brednia, w którą nie uwierzę,
To pustka, w której żyją myśli niedoperze,
Którą słabym umysłom pokazują w dali....

Ach! jak w głowie się miesza, jak ciąży, jak pali!..
Ach! już sił mi brakuje, to gorączka snać,
Pójdę spać!....

(Kładzie się na łóżko i najspokojniej zasypia. Po chwili słychać muzykę, z początku zcicha, potem coraz wyraźniej, nareszcie łączą się z nią śpiewy Aniołów, unoszących się nad śpiącym.)

Śpiewy różnych kół anielskich:

Lećmy i płyńmy, zstąpmy tu,
Rozwińmy całą czarów moc,

Roskosze duszy sprawmy mu
Niech ma szczęśliwą, lekką noc.

~ · ~

Wieńców i kwiatów, słońc, tęcz promienie
I z naszych krain najmilszy dźwięk,
Niech jego biedną duszę owioną,
Niech z bólów ziemskich ostygnie łono,
Wszelkie w nim zgaśnie buntu wspomnienie,
Ziemskiej rospaczy zagłuchnie jęk.

~ · ~

I duszę jego weźmy na dłonie
I w nasze czyste unieśmy błonie,
By powietrze nieba pił,
A oczyszczony, w świetle skąpany,
Zabliźni w sobie najkrwawsze rany,
Będzie rajskie cuda śnił.

~ · ~

I znów spuśćmy go na ziemię,
A lecincżne życia brzemię
Będzie czuł —
I gorące swe marzenia
Na uroczém tle widzenia
Będzie śnił.

Chór.

Dalej, dalej na wyżyny,

Wyżej, wyżej, tam w krainy
Gdzie przestrzeni świata końce,
Gdzie wieczności świeci słońce,
O! najwyżej, lubo jak!
O! tak, o! tak.

(Aniołowie znikają, pokazuje się postać Kobiety w żałobie, z dzieckiem na ręku.)

Więzień (wyciągając ręce)

I ty tu? i co robisz tu w podobnej chwili?

(Podnosi się, siada na łóżku, kobieta przy nim)

A więc to ty najdroższa... i Wacławek z tobą?
Lecz dla czego tak smutna, okryta żałobą?

Kobieta

Ty cierpisz tutaj bardzo; także mi mówili,
Że długo byłeś chory w strasznym lochu tym.

Więzień

O! zaklinam Cię żono, nigdy nie wierz im.

Kobieta

A cóż znaczą te ciężkie, okropne kajdany?
O Boże! jakie od nich na rękach masz rany.

Więzień

Jednak patrzaj, jak lekko z niemi się unoszę,
Aż w niebieskie krainy! To ducha roskosze!

Kobieta

O! wiem, tak mówisz tylko, by ukoić mnie.

Więzień

Czy, choć raz kiedy w życiu oszukałem cię?

Kobieta

Ty zawsze mnie kochałeś więcej niżli siebie.

Więzień

A więc czemu nie wierzysz, żem w tych więzach w niebie?
Widzę, śpi nasz Wacławek?

Kobieta

Ta mała dziecina!
Nie wiesz, jak to już myśleć, szczebiotać zaczyna,
I może nie uwierzysz jak pamięta cię:
Tylko przy nim powiedzieć jedno słówko tata,
To zaraz się ogląda i uśmiecha się.
A jednak, przypominasz, od przeszłego lata
Kiedy jeszcze przy piersi był taki malutki,
On odtąd ojcowskiego nie widział spojrzenia.
(ociera łzy)

Więzień

Mój najdroższy aniele, dla czego te smutki?
Dla czego na twych licach widoczne cierpienia?

Kobieta

Nie mogę się przymusić, żeby nie narzekać,
I jak ty mówisz zawsze, z cierpliwością czekać,
Bo czyż to podobieństwo, mój drogi, niestety!
To jest nadto wymagać od serca kobiety,
Żeby sił miała tyle i w nich trwała stale,
Toż by łzy w jak najtwardszej zbudziły się skale.

Bo niechby się cieszyli pastwieniem nad nami,
Ale co im to biedne przewiniło dziecie,
Że zaledwie chłypnęło powietrza na świecie,
A już zaraz musiało przekarmić się łzami.
Prawda, żem i dla tego płakać nie powinna;
Ale cóż biedna pocznę, nie mogę być inna.

Więzień

Te oczy załzawione i to smutne czoło
Pozwól mi wycałować, może myśl wesołą
Tchnę temi całunkami. (całuje ją)

Kobieta

Zbudziłeś chłopczynę.
Patrz jak się to uśmiecha, wyciąga rączęta,
Widzisz, jak ci mówiłam, on ciebie pamięta,
Bo poznał najwyraźniej oblicze ojczyne.
Weź go też na swe ręce.

Więzień (biorąc dziecko)

Chodź tu chłopcze mały!
O! widzę, piękny, dzielny będzie z ciebie chłopiec,
Czoło jasne, otwarte; wzrok szczery i śmiały.

Kobieta

Wszyscy mi jedno mówią: wykapany ojciec.

Więzień

A więc go twórczej Boga polecając ręce,
Nie oszczędzaj mu żadnej też, ni krwi ofiary,
A im go w okropniejszej będziesz kąpać męce,

Tym w świętsze, potężniejsze wyrośnie rozmiary.
Nie bój się więzów świata, trwaj z życiem do końca,
A czego nie da matki dusza kochająca,
To przyszłość wieków skończy jego wychowanie –
I myśl ma nieśmiertelna w rzeczywistość wstanie.
Bo tu i piekła same muszą być bezsilne,
I wierz mi, to się stanie, to jest niecomylne!
Jeszcze dziecię polecam twej czułej opiece.
Bądź zdrowa, i ty mały.... (całuje ich)
Znów lecę, znów lecę!...
(Unosi się całą postacią i rękami ku górze, postać kobiety z dzieckiem znika.)
Poczekaj, jeszcze spadam, jak mi skrzydła ciężą!
Jakieś złowrogie pęta jeszcze mnie tu wiążą,
Daj mi rękę ma luba, polecimy razem..
(ogląda się)
Jakto, już cię tu niema, gdzieżeś się podziała?
Wszak tu byłaś i z tobą twa dziecina mała?
Czyżto tylko sen dziwnie złośliwym obrazem
Chciał tak złudzić okrutnie męża, ojca serce?..

O! wiem, to ludzie owi, podli życia zdziercy,
Którzy boją się z nieba promyka każdego
Myśli, prawdy, przyszłości, widząc jakie dziécie
Wierna matka tuliła u łona swojego
I ile ognia, siły, ojciec tchnął w powicie,

Porwali je, okuli i wydarli życie!
Spojrz o Matko Maryo! znowu noc Heroda
Powróciła na ziemię w tej strasznej godzinie,
Znowu dzieci malutkich niewinna krew płynie!
Pada śmiercią latorośl pokolenia młoda —
I twoja tego świata nowa Jeruzalem
Drugi raz takimż samym pęka matki żalem.
Dzika ręka zabójcy nic, nic nie ocali,
Już mi ostatnie dziecko dziś zamordowali!...

A więc bezdzietnym mam umrzeć na ziemi?!..
Nie, pójdę, pójdę choć na świata końce,
I skargami i łzami i prawami swemi
Przekonam dobrych ludów serca kochające;
Albo wszystko rozburzę, cały świat poruszę,
A swe dziecko jedyne, ja odebrać muszę!..
(Postępuje kilka kroków naprzód i w tej chwili więzienie zmienia się na nieprzejrzanej wielkości świątynię gotyckiej architektury. (Ogląda się)).
Gdzie jestem? co za widok świątyni wspaniałej?
Gdzież me kroki znów w drodze cierpień się zbłąkały?
(Ukazuje się postać kobiety nadzwyczajnej piękności, w białej, srebrnej, złotem przepasanej, na ziemię spływającej szacie, z dębowem wieńcem na głowie, z rószczką oliwną w lewém ręku i zatrzymuje więźnia za ramię)

wpatrując się w twarz Kobiety:

Kto jesteś, co tak lekką rękę dla mnie masz?
Której taką pięknością promienieje twarz?
Co to za ściany olbrzymiej budowy,
Co za posągi, pomniki i groby,
Te z mieczów, tarcz, chorągwi błyszczące ozdoby,
Z których zda się przemawiać jakiś duch wiekowy?
Jakby tu spali znani mi ojcowie
Błogosławionym, wieczystym spokojem;
Jakby tu przeszłość legła na wezgłowie,
Przeszłość, co żyje i w jestestwie mojem?
A to urocze, tajemne świtanie,
Co tak łagodnem zewsząd światłem tryska,
Jakby miała nadchodzić ta godzina bliska,
Kiedy z tych grobów przyszłość boskim cudem wstanie?

Kobieta

I dotąd nie poznajesz mojego nazwiska?

Więzień.

O! poznaję Cię matko mym śmiertelnym wzrokiem.
O! matko, matko moja, wieczna i jedyna,
Masz przed sobą oddawna zgubionego syna,
Upojonego teraz twoich wdzięków widokiem.
Ale powiedz mi, powiedz, co to wszystko znaczy?
Czy to prawdą być może, żeś ty z grobu wstała?
Czy mnie ducha potęga znów unosi śmiała
I tylko wyobraźnię zbolałą majaczy?

Bo już nieraz w tych samych błądziłem marzeniach,
I nieraz taką samą ciebie oglądałem,
I w uroku tych czarów, w twoich óczu spojrzeniach,
Nowe siły dla ducha i życia czerpałem.
Lecz próżno lubą marę w rzeczywistości wyśnię,
I nacieszę swą duszę o przyszłości stroskaną;
Mara jak była marą, w nicość się rozpryśnie,
A tylko w piersi bóle straszniejsze zostaną.
A więc powiedz mi matko, dlaczegoś nie w grobie,
W którem, będąc zabitą, zostałaś złożona?
Gdzież kiru śmiertelnego na tobie zasłona
I te więzy i rany morderców na tobie?
Gdzie ślady dzikich szponów, narzędzi tortury,
Na które duch się wstrząsał ludzi i natury,
I owych strasznych cierpień, straszniejszych od piekła,
Którymi łzami krwawemi twoja twarz ociekła,
Gdyś patrzyła na tyle mordowanych dzieci,
Które z twego żywego wydzierano łona?
Wszak taka boleść w duszę matki zagłębiona,
Nieprędko z twarzy swemi śladami odleci?!...

Kobieta

Więc wątpisz jeszcze synu?

Więzień

Przebacz matko droga!
Lecz chciałbym prawdę wiedzieć: na żywego Boga!!..
Prawda! widzę twe lice w najczystszym pokoju,

Jak anielskiej radości wdziękami jaśnieje,
Jakbyś już zakończyła całą drogę znoju,
Jakby się wszystkie twoje spełniły nadzieje.
Taką szczęsną wolnością tchnie twa postać cała;
Jakgdybyś w ciężkich więzach nigdy nie jęczała;
A w tak piękne i świetne przyodziana's szaty,
Jakbyś znowu odżyła pomyślnemi laty.
A twój uśmiech uczuciem niebiańskiem tak miły,
Jakby ci wszystkie twoje dzieci się wróciły.
Więc jeżeli to prawda, pozwól się wpatrywać
W te wszystkie twoje wdzięki matko ukochana,
I oczów od oblicza twego nie odrywać,
Aż do przyjść mającego po tej nocy rana; —
Lub tak umrzeć roskosznie zostając w tém Niebie
Miłości i nadziei, i tak patrząc w Ciebie!...

Kobieta

(ukazując w głąb świątyni)

Widzisz tę gwiazdkę, jak rośnie i płonie?
W jej blasku, synu, cały świat utonie.
Teraz niech dusza twa będzie gotowa
Słyszeć przyszłości tajemnicze słowa.

(Swiatło ukazującej się gwiazdy napełnia całą przestrzeń Świątyni i daje się słyszeć chóralny śpiew)

Chór niewidzialny.

Ich marne ciało, jak i duch doczesny,
Boga na ziemi utworzyli sami,

Jemu składali wiary hołd cielesny
I żyli gardząc mojemi słowami.
I wpadłszy w cieniów wiekuistych mątnię,
Przeciw mojemu światłu spiskowali –
I wszelką złością napełnieni cali
Pragnęli zabić me dziecko ostatnie.
Byli na ziemi potępionym trzodem,
A gdy świat sobą już ogarnąć mieli,
Dotknięci z dawna obiecanym sądem
Zginęli!...
I przez światłości nieśmiertelny ruch
Zwyciężył duch
Odwiecznej prawdy, miłości odwiecznej;
I powstał świat
Na nowy bieg lat
W szczęściu, miłości, stateczny).
O! śpiewajmy, O! śpiewajmy
Przed zaczęciem nowych dróg:
Wielki, wielki, wielki Bóg!
I Jemu pokłon oddajmy!
(Śpiew ustaje)

Więzień

Jakaż to jasność!... jaka roskosz błoga!
O! żyć tak wieki chciałbym, matko droga;
Lecz cóż tak wszystko pokrywa się nocą?
Gdzie mnie znów wiedziesz swojej ręki mocą?...

(Kobieta prowadzi więźnia za rękę. Świątynia śród nagłej ciemności zamienia się na więzienie, jakie było w początku sceny.)

Kobieta

Wracasz do trudów, łez i mąk otchłani,
Gdzie wróg cię w twardsze zakuje obroże
I duszę tysiąc razy krwawiej zrani,
Gdzie ciało kona i umrzeć nie może.
Lecz to coś widział i usłyszał ze mną,
Niech ci nie będzie nauką daremną;
Bowiem nie zgadniesz przyjścia chwili cudów,
Kiedy ma przyszłość objawi się w czynie
I gdy twe Imie wzgardzone zastąpi
Najświętszą chwałą pośród wszystkich ludów.
Patrzaj w tę przyszłość – i śród świata nocy,
Strzeż się zwątpienia męki i niemocy,
A w innych mękach trwaj dla mnie do końca:
Pomnij że moja dusza kochająca
Czuwa nad tobą z matczyną miłością,
A On najwyższy swoją opatrznością.
Lecz gdy zapomnisz jakiejś matki syn,
Światła i życia opęta cię wróg,
Staniesz się sługą jego podłych sług;
Wtenczas na duszę twoich wielkich win,
Za życie ofiar, łez, męczarń i prób,
Najwyższy ześle wieczne ukaranie:

Twą matkę wepchniesz w najciemniejszy grób,
Z którego nigdy, nigdy nie powstanie.
Ale ty synu, ty nie zdradzisz mnie
Przez takie zbrodnie przeciw mnie okrutne:
Patrz! na myśl samą łzy płyną mi smutne.
Teraz żegnam cię!

(znika)

(Wchodzi oficer i za nim dwoch żołnierzy, niosących kajdany i narzędzia do zakuwania; więzień budzi się.)

Więzień

Co się tu dzieje? gdzie jestem? gdzie byłem?
Co to za ludzie?

Oficer

Przepraszam, zbudziłem.

Więzień

Zawsześ tak czuły, mój panie kochany!

Oficer

Bo oto jestem do pana przysłany,
Widzisz pan, według wyższego rozkazu.

Więzień

Czyliż nie lepiej powiedzieć od razu:
Z cięższemi trochę, jak te są kajdany.

Oficer

Jak pan domyślny! wczoraj się brykało
Trochę za wiele – i znów się dostało. –

No, daj pan ręce, zajmiem się robotą.

Więzień

O! moi drodzy, z największą ochotą!
(zaczynają mu przekuwać kajdany na większe i cięższe.)
Powiem wam jednak moi przyjaciele,
Że prostej logiki nie macie zbyt wiele:
Bo jeśli chcecie już zakuć me ciało,
To tak je skujcie, żeby ani drgało,
A wtenczas może uda się i ducha:
Gdyby naprzykład całego w obręcze!...
A co? myśl niezła! niech no pan posłucha,
I swoim starszym dowódcom doradzi;
A taka rada piękna, wielka, ręczę,
Pewnie na wyższe miejsce pana wsadzi.

Oficer

A pana jeszcze na wyższe odemnie.

Więzień

Po co tak prędko gniewać się daremnie?
Jakto? pan pewnie wiesz, że mnie powieszą
I lud tak pięknym widokiem pocieszą?
Jednak, nie wstrzymam, dam jedną przestrogę:
Bądźcie ostrożni, bo cóż uczynicie,
Jak ja wam umknę z waszej szubienicy? –
O tej wisielców pewnej tajemnicy
Przez swoich szpiegów dotąd nic nie wiecie;

A ja doprawdy uczynić to mogę. –

(przez ten czas skończono przekuwanie)

Oficer

Koniec roboty, kłaniam uniżenie.
Może pan jakie masz jeszcze życzenie?

Więzień

Nic prócz dzięk czynień, panowie łaskawi!

Oficer (odchodząc, do siebie:)

Djabła ty umkniesz, gdy cię stryczek zdławi.

(Żołnierze wychodzą za nim, więzień zostaje sam)

Koniec Sceny.

Do niepoznanej pieśni.

Pieśni ma! ty me bóstwo czarowne, nietknięte
Żadnym prochem na ziemi, żadnym mętem świata!
Piękność twego oblicza, twa dusza skrzydlata,
Przez nikogo z padołu dotąd niepojęte!

Ty moje najśliczniejsze, najwonniejsze kwiecie,
Rosnące na niebieskich przeczystych wyżynach,
Gdzie nawet w najzuchwalszych polotu godzinach
Nie sięgnął dotąd żaden śmiertelnik na świecie.

Przez znane dla mnie tylko siły tajemnicze,
Szedłem drogą żywota na twe górne szczyty,
Czując ból nieśmiertelny w twoich głębiach skryty,
Ale razem nadziemskich uniesień słodycze.

I z mocą tej potęgi, z temi Niebios dary,
Patrząc w twoje oblicze, za tobąm szedł pierwszy,
Niosąc ci wszelkich cierpień, wszystkiej krwi ofiary,
Zawsze najpokorniejszy i zawsze najszczerszy.

A sam jeden tak szedłem, sam jeden na ziemi!
I choć nieraz w mą duszę grom po gromie bije

Ziemskie burze mnie chłoszczą wichrami wściekłemi,
Ludzkiej złości i wzgardy kąsają mnie żmije;

I nieraz chmurna rospacz nademną wisiała;
Dotąd idę za tobą – i tylko z pomocą
Twego blasku, obszarów otoczony nocą
Sród tych burz, fal i gromów, ja stoję jak skała.

I słyszę głos twój z nieba: tak osamotniony
Jeszcze długo stać będziesz; lecz późno czy rano,
Sród ludzkości raz z ciemnych kolei ruszonéj,
Twoja pieśń nad pieśniami zostanie poznaną.